Nr. 70. Lwów, Niedziela dnia 29. Grudnia 1878 r. Tom VII.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

SIELANKA NIERÓŻOWA.

OBRAZEK MIEJSKI

przez

ELIZĘ ORZESZKOWĄ.

(Dokończenie).

Marcysia przybiegła nad brzeg rzeki zdyszana, bez głosu. Most do połowy już był rozebrany i przejść przezeń nie było sposobu. Promu jeszcze nie zaciągnięto na rzekę. Wielkie czółno, w miejscowym języku zwane *czajką*, odpływało od brzegu.

Dziewczyna schwyciła się za piersi i ochrypłym a jednak przeraźliwym głosem krzyknęła:

— Czajka! oj! czajka! wróćcie się! jeżeli Boga macie... w sercu...

Ostatni wyraz wymówiła zaledwie już dosłyszalnie, ale zrazu głos jej brzmiał taką rozpaczą i takiem błaganiem, że ludzie kierujący czółnem zwrócili je ku brzegowi. Wskoczyła w czółno i opadła na dno jego bezsilna, zaledwie jednak dopływać ono zaczęło do przeciwległego brzegu, porwała się i wyskoczyła zeń w wodę. Czółno posuwało się dla niej z powolnością zupełnie do wytrzymania niemożliwą. Nie zważając na krzyki, ostrzeżenia i pogróżki które rozlegały się za nią, brnęła w wodzie po pas, po kolana, potem wyskoczyła na brzeg i jak wicher pobiegła ku środkowi miasta.

Wiedziała gdzie znajdowała się budowa w której pod strażą policyi przytrzymywano złoczyńców przez czas wstępnego dochodzenia śledczego a naprzeciw której stał wielki, ponury, okratowanemi oknami z za wysokich murów wyglądający, gmach więzienny. Wpadła na ów plac miejski i stanęła jak wryta.

Przez plac, od budowy zarządu policyjnego ku więziennemu gmachowi posuwała się szybko grupa ludzi złożona z kilku żołnierzy uzbrojonych i idącego pośród nich człowieka. Wysoko ku górze sterczące bagnety, suchemi, czarnemi liniami przerzynały zmrok zapadający i mgłę drobnego deszczu, wśród nich ukazywał się chwilami to znikał znowu profil twarzy ocienionej zmiętą czapką, bardzo młodej, bardzo bladej i pochylonej nisko. Marcysia biedz zaczęła z całej siły ku sunącej placem grupie ludzi. Dogoniła ją przed samemi drzwiami więzienia i z giętkością węża wśliznęła się pomiędzy żołnierzy.

— Władek! — krzyknęła obu rękami czepiając się młodego winowajcy.

Obejrzał się, spojrzał na nią. Zobaczyła, że wzrok błyszczał mu ponuro, że usta mu drgały, że chciał powiedzieć coś do niej i nic więcej, bo żołnierze odepchnęli ją tak, że aż upadła na bruk chodnika a więźnia wprowadzili w ciemną, głęboką, sklepioną bramę, za którą wnet zamknęły się ze stukiem i zgrzytem wielkie, okute żelazem drzwi.

Upadła na bruk chodnika, przycisnęła czoło do muru i z rękami utopionemi we włosach krzyknęła wielkim płaczem.

— Czego krzyczysz? idź precz! — ozwał się nad uchem jej głos przechodzącego policyanta.

Targnął ją za ramię.

— Idź ztąd precz! — powtórzył.

Ucichła w mgnienu oka, ale głowy od muru nie odrywała. Policyant pochwycił ją wtedy za oba ramiona i podniósł z ziemi. Szamotała się mu w rękach i stłumionym głosem szeptała:

— Już będę cicho... cichuteńko! pozwólcie mi tylko... tu zostać... — Pochyliła się i zaczęła mu ręce okrywać pocałunkami.

— Pozwólcie... oj... pozwólcie... jedno słówko, słóweczko mu powiem tylko... jeden razik tylko na niego spojrzę... pozwólcie!

Być może iż człowiek ten z litością na nią patrzał, w zmroku nie można było dojrzeć wyrazu jego twarzy. Szorstkim jednak i stanowczym głosem odpowiedział:

— Nie można! czy zwaryowałaś, dziewczyno? Ruszaj że sobie ztąd a to... do policyi zaprowadzę...

A gdy jeszcze nie odchodziła obu rękami czepiając się oddrzi więziennych i z całej siły swej tuląc się do muru, uderzył ją w plecy pięścią i jednym rzutem silnego ramienia, precz, aż prawie na drugą stronę ulicy odrzucił.

Upadła znowu na kamienie bruku, ale wnet podniosła się i kulejąc trochę, szybko jednak bardzo odbiegła. Przypadła do brzegu rzeki, sama nie wiedząc jak i kiedy wsiadła do *czajki,* a gdy przy wysiadaniu usłyszała głos przewoźnika upominający się o kilka groszy zwykłej opłaty, zerwała z głowy i ramion starą chustkę, rzuciła mu ją i popędziła dalej pod górę, ku chacie Wierzbowej.

Okienka chaty mrugały zdala śród mgły deszczowej czerwonawem i sinem światłem. Wierzbowa miała znać gości, którzy bawili się i raczyli u niej, wedle zwyczaju...

Istotnie, w izbie, przy długim stole, oprócz gospodyni domu siedziała jeszcze mleczarka, która dnia tego zrana przychodziła z mlekiem i pierwszą o zaszłem zdarzeniu wieścią, stara kabalarka z przedmieścia przychodząca tu od czasu do czasu z talią kart otłuszczonych, dziewczyna jakaś wysoka, ponura i rozczochrana, dwóch mężczyzn brodatych, i jedna jeszcze kobieta, chuda, żółta, z zaczerwienionemi oczami, w podartem odzieniu, istny obraz nędzy brudnej, cynicznej, ostatecznej. Na tę ostatnią kobietę zwracała się widocznie uwaga ogólna. Wszyscy patrzali na nią, kiwając głowami i rzucając rozmaite pytania i wykrzyki.

— No, no!— mówiła Wierzbowa — wróciliście! — taki wróciliście! a ja już myślałam, że kędyś pod płotem wódka spaliła was albo psy rozszarpali!

— Oj! aj! — zawołała kabalarka — toćże ja jej przed wyjazdem jeszcze wróżyłam, że ani chybi powróci...

Rozczochrana, ponura dziewczyna mruknęła.

— Co jej z tego, że wróciła? jaka była taka jest...

Mleczarka wzdychała. — Ot że to grzesznikowi Pan Bóg łaski swej nie okaże, aby nawrócił się!

Jeden z mężczyzn zaśmiał się na całą izbę.

— Imość nawrócisz się jak szklanicę spirytusu wychylisz...

Ołachmaniona, żółta kobieta patrzała na otaczających i przemawiających do niej ludzi omglonemi oczami i z ckliwym uśmiechem na wywiędłych, pokurczonych ustach. Nie była już zupełnie przytomną.

— Ot wróciłam! — zaczęła — otóż wróciłam! do Marcysi mojej, do doni mojej... do dziecka mego rodzonego wróciłam... niech ją jeszcze oczy moje raz przed śmiercią zobaczą!...

— Ucieszy się donia jak matulę taką zobaczy! — mruknęła rozczochrana dziewczyna.

Elżbietka zapuściła rękę w kieszeń spodnicy opadającej z niej łachmanami i wyjąwszy z niej brudną szmatkę płótna, zaczęła drżącemi palcami rozwiązywać róg jej związany w węzełek. Rozwiązała i wydobyła kilka miedziaków, które rzuciła na stół.

— Matulu! dobrodziejko moja! — zawołała do Wierzbowej — sprawcie bal... zapalcie spirytusu odrobinę... niech sobie dawne czasy... lepszą dolę przypomnę...

Mętnym swym wzrokiem zaczęła poglądać w kąty izby i bełkotliwie, piskliwie nucić:

> — Oj dolo moja... dolo, gdzieżeś się podziała,
> Czyś w wodzie utonęła, czy w ogniu zgorzała?

Wierzbowa trzymała na dłoni rzucone jej miedziaki.

— Co ja z tem zrobię? — pytała spoglądając po obecnych.

Obecni sięgnęli do kieszeni i wnet na stół posypały się dziesiątki i złotówki.

W parę minut potem, pośrodku stoła zjawił się kociołek miedziany, z którego buchnęło błękitne płomię. Szukając cukru kędyś za piecem, Wierzbowa zapaliła łuczywo i wetknęła go w szczelinę ściany. Izba zagorzała cała od świateł czerwonych i sinych, w rękach Wierzbowej dźwięknął pęk blaszanych czarek, rozczochrana dziewczyna zarzuciwszy ramię na szyję jednego z mężczyzn pochyliła się ku kotłowi a kabalarka i mleczarka trzymały za spodnicę i chustkę Elżbietkę która wyrywała się im wołając:

— Pójdę! ot pójdę szukać jej... Marcysi mojej... doni mojej najmilszej... Czy ja tego spodziewała się, żeby ją tu nie zastać! prędzej ją śmierci spodziewała się jak, że ją tu oczy moje nie zobaczą...

Nachylała się ku Wierzbowej i w ręce ją całować usiłowała.

— Matko moja! — coraz płaczliwiej mówiła — miła moja! dobrodziejko moja! powiedzież mnie gdzie Marcysia? gdzie dziecko moje com ja wam na opiekę waszą macierzyńską zostawiła! Ja biedna, zgubiona kobieta, szłam w świat żeby dla niej dobrą dolę zapracować!...

I przeraźliwie, piskliwiej jeszcze jak wprzódy zawiodła.

> — Oj dolo moja, dolo! gdzież ty się podziała
> Czyś w wodzie utonęła, czy w ogniu zgorzała?

W tej chwili z łoskotem roztworzyły się drzwi izby, w progu stanęła Marcysia i krzyknęła.

— Ratujcie! oj ludzie! kiedy w Boga wierzycie ratujcie!

Blada była jak trup i tak przemokła że spódnica oklejała się jej wkoło nóg a włosy które rozplotły się, mokremi pasmami zakrywały jej czoło, plecy i piersi.

Wierzbowa i Elżbietka rzuciły się do niej, pierwsza z gniewem i ciekawością, druga z rozwartemi ramionami i rozognionym wzrokiem.

Marcysia przypadła naprzód do rąk Wierzbowej i całując je wołać zaczęła.

— Ratujcie go! jeżeli w Boga wierzycie, ratujcie! do turmy go poprowadzili... za temi drzwiami przeklętemi posadzili.. oj!

Schwyciła się za serce, wyprostowała się i w tej chwili dopiero spostrzegła matkę. Niewiadomo czy poznała ją od razu, czy w umyśle jej mignęło tylko mętne przypomnienie dawnych rysów matczynych, ale umilkła i szeroko oczy otworzyła.

Elżbietka ogarniała ją trzęsącemi się ramionami.

— To ja, doniu moja — mówiła — ot widzisz... to ja... powróciłam do ciebie... No, obejmijże mnie rączkami swojemi.. przytul do siebie moją główkę biedną... oj! nawalała się, nawalała główka moja po niedobrym świecie... niech teraz przy doni swojej miłej minutkę odpocznie...

Przyłożyła pomarszczoną, rozczerwienioną twarz swą do twarzy córki i ustami ziejącemi zapachem wódki ust jej szukała. Ale dziewczyna odskoczyła gwałtownie, przyparła się plecami do ściany i wpatrzyła w nią wzrok przerażony, rozjątrzony, ponury. Elżbietka zbliżała się znowu do niej. Na nieprzytomnej twarzy jej zjawiło się coś jakby żal, jakby usilna praca myśli i pamięci. Zaczęła kiwać głową i kilka razy uderzyła się w piersi.

— Nie dotrzymałam doniu — wołała — nie dotrzymałam obietnicy, którą tobie i panu Bogu zrobiłam... Chciałam poprawić się i... nawrócić się... i nie mogłam... Przeklęta wódka ciągnęła i ciągnęła... Rok cały ani do gęby nie wzięłam i już po wszystkiem.. i jeszczej gorzej... Oj! Marcysiu ty moja.. doniu moja! nie gniewaj się na mnie... w sercu mnie robak toczył a w głowie smutne pieśni szumiały... czarna jak ta nocka jesienna była dola moja...

Dziewczynie jęknęło coś w piersi i załkało, łagodne, blade jak płótno usta jej drgnęły gorzkim, rozpacznym, strasznym uśmiechem. Odwróciła się od matki i z załamanemi rękami zaczęła chodzić po chacie, wołając.

— Biedny mój Władek! biedny, biedny mój Władek!

Strumień łez rzucił się jej z oczu a piersi zdawało się, że pękną wnet od łkania.

Obecni poglądali na siebie ze zdziwieniem i napoły z litością, napoły z szyderstwem.

— Ot rozkochała się! — wyrzekła głośno rozczochrana dziewczyna.

— Biedactwo — westchnęła mleczarka.

— A jak to wygląda — zauważył jeden z mężczyzn, gdyby topielica!

Usłyszawszy ostatni wyraz Marcysia stanęła i wpatrzyła się znowu w matkę. Coś się jej przypomniało, coś w głowie jej zaszumiało bo ze wzrokiem szklistym, machinalnie, monotonnym głosem, mówić zaczęła.

— Topielice na dnie wody spokojnie sobie leżą.. w pachnące ziele owinięte, złotym piaskiem przysypane...

Podniosła ręce do głowy i rzuciła się ku drzwiom.

— Trzymajcie ją a to utopi się jeszcze — krzyknęła Wierzbowa.

Jeden mężczyzna pochwycił ją i opierającą się przyciągnął ku stołowi. Trzęsła się z zimna od stóp do głowy i łamiąc ręce cicho już szeptała.

— Biedny mój Władek! biedny, biedny, biedny!

— Ot dajcie jej napić się — rzekła kabalarka — a to febry albo broń boże i gorączki jakiej z przemoknięcia dostanie!

— No pij! a przestań szkandale tu dokazywać i ludzi straszyć — mówiła Wierzbowa nalewając do czarki zaprawny cukrem spirytus.

Elżbietka roztwierała przed nią wpółbezwładne ramiona i chwiejąc się na nogach bełkotliwie szeptała.

— Pij doniu, pij! to dobre na robaka lekarstwo! Zapomnisz taj zaśniesz sobie!

Czy w tej chwili zagrała w żyłach jej krew matki pijaczki, czy niewysłowionym czarem uśmiechnęła się do niej nadzieja zgaszenia tego bolu który piekł jej piersi.. czy pijana już rozpaczą nie wiedziała dobrze co robi? — porwała z trzęsącej się ręki matki czarkę pełną dymiącego napoju i wychyliła ją do dna.

— Aj! — jęknęła chwytając się za piersi i gardło, ale w mgnieniu oka na śmiertelnie bladą twarz jej wybuchnął krwisty rumieniec, oczy spłakane oschły i zaziskrzyły się jak czarne brylanty. Uczuła znać ulgę, bo wyciągnęła rękę.

— Dajcie więcej — zawołała.

Elżbietka płakała.

— Oj doniu moja — szeptała szlochając — taka już widać dola twoja będzie jak i moja!..

Ramię z którego opadały łachmany rękawa, wyciągnęła ku kotłowi, napełniła czarkę drugą i podała ją córce.

Wypiła znowu i opadła na ławkę. Przycichła, znieruchomiała. Rysy jej zmiękły, błędny uśmiech przewinął się po rozczerwienionych jak koral ustach. Mętnym wzrokiem wodziła chwilę po obecnych i jakby sobie coś przypominając, westchnęła głęboko, załkała bez łez i żałącym się, drżącym, przyciszonym głosem śpiewać zaczęła.

> — Pod drzewem, przy drodze
> Spało sierot dwoje,
> Drzewo się... złamało...
> Zabi... ło... obo... je...

Ostatni wiersz śpiewu zaledwie dosłyszalnie z ust jej wypłynął. Pochyliła głowę na stół i zamknęła powieki.

Upiła się.

JAN ŁASKI

ARCYBISKUP GNIEZNIEŃSKI

SPRZYMIERZEŃCEM SUŁTANA TURECKIEGO.

SZKIC HISTORYCZNY

przez

DRA ALEKSANDRA HIRSCHBERGA.

(Dokończenie).

Na mocy tego polecenia papieskiego wydał biskup sabiński edykt publiczny [1]), wzywający

[1]) 6. Lutego 1530 r.

arcybiskupa, aby w przeciągu 80 dni po „prawem przepisanem odczytaniu“ niniejszego pozwu (monitorium), pod zagrożeniem kar pomienionych stawił się na tajnem konsystoryum papieskiem, w Rzymie, Bononii lub w ogóle miejscu, gdzieby właśnie wówczas przebywał Klemens VII wraz z kuryą rzymską. Akt ten, zawierający na czele podany powyżej dekret papieski przybito [1]) na drzwiach katedry św. Piotra i kościoła kolegiaty św. Petroniusza w Bononii, a miano go także umieścić na drzwiach kościołów katedralnych w Poznaniu i Płocku [2]). W tym celu odesłał go Kardynał Protektor Polski Zygmuntowi I [3]), a równocześnie (w Kwietniu r. 1530) otrzymał pomienione *monitorium* także sam arcybiskup.

Co się wówczas działo w umyśle dumnego i do niedawna tak potężnego jeszcze magnata, żadne pióro ludzkie opisać tego nie zdoła. Z wysokiego stanowiska prymasa polskiego nagle postawił go ów dekret papieski nad przepaścią, w której najstraszniejsze groziło mu upokorzenie. Wszystkie niemal owoce długoletnich prac i usiłowań w jednej chwili w nieubłagany sposób miał zniszczyć ów sąd, złożony na żądanie dworu wiedeńskiego. Obok poniżenia bez miary i granic jakąż zgrozą musiały go przejmować owe zarzuty wypowiedziane przez samego papieża! Dla zrozumienia zaś tej sytuacyi, nad wszelki wyraz straszniejszej, dodać tu jeszcze musimy, że arcybiskup należał do pokolenia, które szczerą, głęboką odznaczało się wiarą i że wówczas w nader podeszłym był wieku, niemal człowiekiem nad grobem stojącym [4]): z życiem wiązała go już tylko jedna namiętność, ambicya rodowa, a wśród starości i utrapień rozlicznych główną zapewne była mu pociechą nadzieja zbawienia wiecznego. Jedno i drugie niweczył prawie ów dekret papieski! Okrywał go hańbą i poniżeniem wraz z całą jego rodziną i wydzierał mu zarazem skarb najdroższy dla umysłów wierzących. Nie podobna sobie wyobrazić położenia bardziej rozpaczliwego. To, co mu było najdroższem na ziemi, wyniesienie własnego rodu, dla którego wszystko poświęcał w drugiej połowie swojego życia, miała podkopać nieubłagana ręka mściwych przeciwników, a równocześnie odbierał mu ów straszny wyrok także ostatnią pociechę, nadzieję życia przyszłego...

Wrażenie tego ciosu było tak okropne i przygnębiające, iż arcybiskup w pierwszej chwili nie przedsięwziął żadnych środków obrony przeciw zarzutom pomienionego dekretu i powołaniu go przed sąd papieski. Dopiero z początkiem Czerwca tegoż roku udał się do Krakowa, ażeby tu wspólnie z swoimi przyjaciółmi obmyśleć sposób uniewinnienia się przed Stolicą apostolską [1]). Na szczęście prymasa ta sama chwiejna polityka dworu polskiego, która mu nie dozwoliła skutecznej udzielić pomocy Zapolyi, ochroniła go także od ostatecznego poniżenia i zupełnego tryumfu jego przeciwników.

Kardynał Protektor Polski, posyłając Zygmuntowi owo *monitorium* papieskie, jego woli pozostawił ogłoszenie go jako edyktu publicznego [2]), a w ten sposób od decyzyi królewskiej zawisłem uczynił dalsze prowadzenie procesu. Ale właśnie takie traktowanie tej sprawy przez Stolicę apostolską było dla dworu polskiego nader przykre i niewygodne. Jak bowiem wiadomo, nie chciano tu zerwać stosunków przyjaznych ani z Zapolyą, ani też z domem rakuskim, do czego wykonanie dekretu lub stanowcza pod tym względem odmowa z łatwością mogłyby doprowadzić. Z Zapolyą łączyły Zygmunta węzły bliskiego pokrewieństwa; prócz tego przeciw ogłoszeniu edyktu przemawiały względy dla sędziego arcybiskupa, a nadto obawa, aby zwolennicy króla Jana z zemsty nie podburzyli Turków przeciw Polsce [3]). Natomiast udzielenie prymasowi opieki mogło w najwyższym stopniu oburzyć Ferdynanda i podkopać przyjaźń z domem Habsburskim [4]), którą Zygmunt tak starannie pielęgnował od kongresu z r. 1515. Postanowiono zatem i w tej sprawie ściślą zachować neutralność. Zygmunt odesłał do Rzymu przysłane mu *monitorium*, usuwając się od wszelkiego pod tym względem udziału. Zarazem jednak oświadczył, że wykonaniu dekretu przez nuncyusza papieskiego żadnych przeszkód stawiać nie będzie [5]). W ten sposób, zajmując stanowisko zupełnie neutralne, usiłowano uniknąć wszelkich kolizyj z którąkolwiek ze stron walczących o koronę węgierską.

Takie zachowanie się dworu polskiego nie uwolniło wprawdzie prymasa od grożącego mu niebezpieczeństwa, musiało atoli sprowadzić pewną zwłokę w dalszych działaniach kuryi rzymskiej, nader pożądaną dla arcybiskupa. Uzyskał on przez to dość czasu, aby obmyśleć sposób obrony i poczynić potrzebne w tym celu przygotowania. Usilnym zabiegom Łaskiego i jego przyjaciół udało się tak korzystnie usposobić dlań Zygmunta, iż postanowił on wysłać osobnego posła do Rzymu, który miał wytłómaczyć prymasa z uczynionych mu zarzutów i w imieniu króla polskiego wyjednać dlań przebaczenie papieskie [6]). Misyę tę otrzymał Jan Zbąski, kanonik poznański i sekretarz królewski [7]); z nim wspólnie miał działać jeden z zaufanych domowników arcybiskupa, niejaki Rudnicki [8]), zapewne Jan, archidyakon uniejowski [9]), który jako pełnomocnik polski [10]) przez czas dłuższy bawiąc w Rzymie dokładnie musiał się zapoznać z tamtejszymi stosunkami. Poselstwo to z początkiem Sierpnia tegoż roku (1530 [1]) miało wyruszyć do Stolicy apostolskiej, gdy wtem nadeszła wiadomość o śmierci kardynała Gattinarii [2]), głównego sprawcy wytoczenia prymasowi owego procesu.

Wypadek ten wywołał nową zmianę pod tym względem w usposobieniu królewskiem. Zygmunt jakkolwiek gotów był ująć się za arcybiskupem, jednak wolałby i nadal zachować swą neutralność, z obawy narażenia się domowi rakuskiemu [3]) i dla tego też postanowił wstrzymać się z wysłaniem swojego posła, spodziewając się, że ze śmiercią Gattinarii rzecz ta w zupełne pójdzie zapomnienie. Tymczasem zażądano bliższych informacyj w tej sprawie od bawiącego wówczas we Włoszech Dantyszka i do nadejścia jego odpowiedzi odroczono powzięcie ostatecznego postanowienia [4]).

Po pewnem wahaniu się zgodził się prymas na tę zwłokę [5]): nieszczęśliwy starzec z największym niepokojem przez czas dłuższy musiał wyczekiwać wiadomości z Rzymu, mających na nowe przygotować go walki i męczarnie, lub tak pożądaną przynieść nadzieję spokoju i przebaczenia. W końcu po długich dniach niepewności i oczekiwania musiała pomyślna nadejść odpowiedź, gdyż sprawa ta, do tej chwili tak głośna i powszechną zwracająca uwagę, odtąd przycicha zupełnie.

Tak więc uniknął arcybiskup ostatecznego upokorzenia, ale to, co przebył w latach ostatnich, złamało go i postawiło nad grobem. Z jakiemże uczuciem spoglądał wówczas na całe swe życie, a szczególniej usiłowania, podejmowane wspólnie z Hieronimem?...

Na zapytanie to możemy odpowiedzieć tylko domysłem, opartym na ostatnim testamencie prymasa [6]). Nie znajdujemy tu nawet kilku słów, poświęconych wojewodzie, żadnego upominka dla ukochanego do niedawna synowca, jakkolwiek umierający arcybiskup nie przepomniał prawie o żadnym z swych sług i domowników! Jeżeli wolno ztąd wysnuć jaki wniosek o ówczesnem jego usposobieniu, to zdawałoby się, że głęboki musiał czuć żal do Hieronima, który był właściwym sprawcą straszliwego upokorzenia prymasa. I zaiste wielką musiało być boleść i gorycz konającego starca, jeżeli nawet na łożu śmiertelnem nie znalazł dlań kilka słów przebaczenia i błogosławieństwa, nie pozostawił mu żadnego dowodu pamięci i pojednania.

Podczas gdy arcybiskup upadał pod ciężarem następstw swojego poświęcenia dla ambitnego synowca, Hieronim, niczem nie powstrzymany, śmiało coraz dalej postępował na drodze do władzy i zaszczytów. W roku 1530 został wojewodą siedmiogrodzkim; w Maju zaś roku następnego, kiedy prymas w osamotnieniu i złamany doznanem upokorzeniem umierał na zamku kaliskim, odgrywał on pierwszą rolę w ówczesnych układach między Zapolyą i Solimanem a domem rakuskim. Sława jego, znaczenie i bogactwa wzra-

---

1) 28. Lutego t. r.

2) Kopia tego *monitorium* znajduje się w Tomicyanach pod mylnym napisem: „Excommunicatio Papae Clementis VII contra Joannem Łaski, Archiepiscopum Gnesnensem“ Kod. Sap. T. VIII k. 47a—53a.), inny odpis w rpsie Bibl. Ossolińs. 245, str. 363—375.

Mylny nagłówek, umieszczony nad tym aktem w kodeksie Sap. Tomicyanów jest zapewne źródłem fałszywej wiadomości o wyklęciu prymasa przez Klemensa VII, którą podali F. M. Sobieszczański w artykule o Łaskim, umieszczonym w Encyklopedyi warszawskiej i J. Bartoszewicz w objaśnieniach do „Wizerunków arcybiskupów gnieźnieńskich“ (Warszawa, 1858). Błąd ten powtarza się również w tak cennej zresztą pracy Prof. Zeissberga, na którą powyżej powoływaliśmy się niejednokrotnie (str. 78).

Damalewicz i Rzepnicki wcale nie wspominają o tym epizodzie, niewątpliwie najciekawszym w życiu arcybiskupa. Jedyny Bużeński podaje pod tym względem pewne wiadomości, ale wypadki te niedokładnie i w fałszywem przedstawia świetle (ustęp ten z jego dzieła w streszczeniu znajduje się w Mizlera „Acta Littereria“ z r. 1755 str. 96—98; w przekładzie polskim Malinowskiego t. II str. 198—200).

3) List w tej sprawie Kardynała Protektora Polski, datowany z Bononii z 13. Marca 1530 r. wysłano do Polski równocześnie z monitorium (Acta Tomic. Kod. Sap. T. VIII k. 38a).

4) Prymas, urodzony w r. 1456, miał wówczas lat 75.

---

1) Acta Tomic. Kod. Sap. T. VIII. k. 54a.

2) Tamże, k. 38a.

3) Tamże. k. 85b, 87b—88a.

4) Jak dalece zależało Zygmuntowi na dobrem porozumieniu z domem rakuskim, świadczy najlepiej polecenie, wydane wówczas Dantyszkowi, aby wytłómaczył przed Karolem V postępowanie dworu polskiego w tej sprawie (tamże, k. 86a).

5) Tamże, k. 85a, 128b.

6) Tamże, k. 94a, 127a.

7) Acta Tomic. T. IX. Nr. 315. — Theiner, Monum Pol. et Lith. T. II. Nr. DII.

8) Acta Tomic. Kod. Sap. T. VIII. k. 128b.

9) Acta Tomic. T. IX. Nr. 233.

10) Theiner, Monum. Pol. et Lith. T. II. Nr. CCCCLXIII.

---

1) Acta Tomic. Kod. Sap. T. VIII. k. 94a.

2) Kardynał Mercurio Gattinaria umarł 5go Czerwca 1530 r. Do Polski doszła wiadomość o tem z końcem Lipca t. r. (tamże, k. 98a).

3) Tamże, k. 127a.

4) Tamże, k. 128b.

5) Tamże, k. 130a.

6) Spisany [illegible] cztery dni przed ś[illegible] 1531 r. (Zeissb[illegible]

...ardziej, a familia Łaskich stała się ...m z najpotężniejszych rodów w Polsce. ... więc bezowocnem poświęcenie prymasa, ... osy i w tem zachowały swój charakter ... y, że myśl jego przewodnia ... iero wśród największych ofiar, ... nego zaparcia się, a nawet życia ... reprezentanta.

PROMIENISTY.

NOWELLA

przez

ZOFIĘ R.

(*Dokończenie*).

Zygmunt spieszył na zebranie tajemnego Towarzystwa, ... odził z głównej ulicy w boczną uliczkę, gdy na zakręcie najechał na niego powóz parokonny ... od srebrnych ozdób.

— Stój! ... krzyknął głos z wewnątrz i konie stanęły jak wryte. Wychyliła się ... cień wiotka, i w mroku wieczornym ... białe ramiona z krzykiem.

Zygmunt ... rażony tym głosem jak piorunem, ... mimo woli podał się naprzód, lecz ... czną odepchnięty, cofnął się natychmiast, ... cił, przysłonił twarz kołnierzem ... eszni uszedł. Kobieta jęknęła ... kie poduszki aksamitem wysłanego powozu.

Nowosilcow potrzebował pomocników do ... najmilszej, najpożądańszej zwierzyny ... ków, Szłyków, nie wystarczali, sprowadził ... a aż z Kaukazu, i uradował go ... n dowodem zaufania.

... przybył na zebranie cały wzburzony. ... dzy przypisywali stan ten anormalny ... o losy towarzystwa, a kto wie, może ... iste.

... długą chwilę, chciał wprowadzić ... i równowagę, marę przeszłości ... zepaść zapomnienia, a w słowa, ... ch spieszył do współtowarzyszy, ... y trafiły do ich duszy...

... dezwał się na końcu — stoimy ... da dzień możemy być aresztowani ... rzysięgę, że z uśmiechem na ... męki śledztwa, że z uśmiechem na ... ć pójdziemy! nie dajmy tryumfo... że nas złamał, myśl, że dla Polski ... la Polski umieramy, da nam siły ...

— Przysięgamy! — zawołano jednozgodnie.

— Dla Polski warto cierpieć i umierać, bo ... — dodał z goryczą.

... wało długo w noc, palono nie... krywano inne, radzono, i gdy ... o już blisko północy. Zygmunt ... domu, zastał w przedpokoju siedzą... Jana.

... i przywiązany sługa nie chciał, jak ... samej „panienki" puścić z Moskalem, ... Kaukaz, i teraz przybył do Wilna. ... ni odszukał panicza i czekał by ... rtę. Leonia pisała.

... ! Zlituj się nad nędzną, nie odpychaj ... odwracaj się tak ze wzgardą, o! bo ... rdzo nieszczęśliwa! Dlaczegoż ty ... lecącej w przy... dlaczego nie rzekłeś jednego... jedynego słowa, niedobry! a ja bym była te klejnoty zruciła i nogami zdeptała!"

Zygmunt czytał, a w skroniach biło mu jak młotem!

Siadł pisać, dla oka patrzącego pisał spokojnie, był przecież bardzo wzburzony, tak spotkaniem z Leonią, słowami jej listu jak i niebezpieczeństwem grożącem Towarzystwu.

— „Kobieto! nie kuś mnie najdroższem imieniem Lili mojej, mego anioła, jasnem wspomnieniem minionego szczęścia, ona umarła, i już nie może zmartwychpowstać. Ja teraz mam już tylko jedną kochankę, Polskę... dla niej gdy będzie potrzeba zniosę największe męczarnie, zakopię się w lodach Sybiru, dla niej z radością śmierć poniosę! Od zdrajców, od zaprzedanych wrogowi, zawsze ze wzgardą odwrócę się"...

Leonia, w sypialni urządzonej z rozkoszną miękkością wschodu, a ze zbytkiem zachodu, po wyprawieniu Jana dla odszukania Zygmunta, chodziła po aksamitnej miękkości dywanach wzorzystych, łamiąc ręce, przyciskając niemi naprzemian to serce to skronie, szkarłatne plamy wypalone na policzkach, wskazywały gwałtowny a nieregularny obieg krwi. Nie mogła się doczekać powrotu sługi, zwodziła się nadzieją, że jej przyniesie litościwsze słowo, nadzieją, że ją Zygmunt w mroku wieczornym nie poznał. Sama była, sama jedna, mąż jej trawił dnie całe, a często i noce, na naradach z Nowosilcowem, nie potrzebowała się kryć z niepokojem, mogła dać folgę żałości, bez narażenia się na dziką, brutalną zazdrość jenerała.

Wieczorne godziny minęły, z kolei przyszły godziny nocne, a Jana nie było z powrotem. Leonia nie mogła pomyśleć o spoczynku. Nie wiedziała o grożącem niebezpieczeństwie Zygmuntowi, mąż nie mówił jej przyczyny powołania go do Wilna, przecież jakieś mętne, niejasne przeczucie nieszczęścia unosiło się po nad nią. W mieście krążyły głuche, niepokojące pogłoski. Jenerał mimo woli, raz w jej obecności wyrwał się z ostrem szyderczo-krwi żądnem słowem przeciw „buntowszczykom" knującym spiski. Leonia też pożądała gorąco ujrzeć Zygmunta, nie tylko by wybłagać iskrę litości, lecz aby go zakląć na wszystko co mu drogie i święte, by nie mieszał się ze spiskującymi, a jeżeli Boże broń stało się już coś podobnego, jeżeli zaplątany jest już w spisek jaki, by uchodził, by Wilno opuścił jak najprędzej. Śmiertelną trwogę uczuwała na przypuszczenie, iż mógł by się dostać pod sąd jej męża, który na prostą wzmiankę imienia jego, na najdalsze o nim wspomnienie, przerzucał się z gładkiego salonowego człowieka, w dzikiego zwierza.

Dręczona okrutnie temi myślami, jak wiek długie godziny liczyła do powrotu Jana. Przyszedł w końcu, i biedna kobieta musiała przeczytać straszne słowa kreślone ręką Zygmunta. W rozpacz wpadła, już teraz wiedziała, że jeżeli jest niebezpieczeństwo, to ono wisi nad głową jego. Osobista ciężko upokarzająca boleść zniknęła, a niewypowiedziana trwoga o Zygmunta objęła ją całą.

— O Boże mój! Boże! — zawołała łamiąc ręce nad głową — cóż ja pocznę nieszczęśliwa! Chciała sama biedz natychmiast, ratować go, lecz myśl, że tym krokiem zamieniłaby dzikość męża we wściekłość przeciw niemu, wstrzymała ją. Zaraz rano, gdy się dzień zrobi tylko, użyje wszelkich sposobów by go ratować, znajdzie przecież kogoś w Wilnie przez kogo działa... mogła!

W strasznem pasowaniu się, w ... walce, przebyła większą część nocy, ... znużona, wycieńczona, padła na ottom... wypocząć chwilę, by sił nabrać do jutr... działania, by módz kłamanym sposobe... oszukać.

Natura wzięła górę nad znękaniem ... kobiety, usnęła, usnęła trzymając list Zy... upita bolem upakarzającym, trwogą ro... i nie widziała, gdy promienie słońca prze... przez błękitne firanki i mdławem światłem ... jej na twarz, i nie widziała, gdy jeneral ... nym mundurze, w błyszczącym kasku na ... wszedł do sypialni. Spojrzał na nietknięte ... żony, a potem na nią bladą, jak martwą ... w ubraniu na ottomanie. Przystąpił, wpa... w piękne, niby w marmurze wykute, ... uspionego anioła, i srogość cechująca wy... rzy niemal każdego Moskala, poczęła us... wyrazowi łagodniejszemu, miększemu. ... oko jego padło na list, leżący teraz bez... opuszczony na fałdach sukni, przytrzyma... czywającą na nim białą ręką uspionej. ... pochylił się, a usuwając wolno rękę, w... smo... Śpiąca jakby za dotknięciem zimn... laza w serce, ocknęła się, stanęła przed ... z wyciągniętą ręką po własność swoją, drżą... da... lecz jenerał usunięciem listu w górę nie ... ujęcia go. Pierwotna srogość oblicza, zmi... teraz, w miarę jak przebiegał pismo ... w dzikość! Doczytawszy do końca, rozś... takim szatańskim śmiechem, że już od teg... chu zamarło serce w biednej kobiecie.

— Ha... ha... ha... pragnie męcze... więzienia... Sybirskich lodów... będzie ... wszystko, nie pożałujem mu! aresztowali... tej nocy z wielu innymi buntownikami, m... modlić bez przeszkody u... Bazylianów *) ... dził, nastąpi potem podług jego własneg... gramu śledztwo, Sybir... ha... ha... ha... ... się, i śmiechem tym dzikim, zagłuszył jęk ... jącej u nóg jego kobiety. Spojrzał na ... leżącą na ziemi takim wzrokiem, jakby ja... nim dobić, odwrócił się i wyszedł z g... brzękiem ostróg.

Jan zaniepokojony zasłyszanym po... nym głosem jenerała, po jego wyjściu ... przez drzwi wpół otwarte do pokoju ... ujrzawszy ją leżącą bez życia na ziemi, ... manemi rękami przypadł do niej. Jak pia... ukochane dziecię, lekko dźwignął z ziemi, ... na łóżku, trzeźwił, ratował, wezwał lekarza w ... i przyprowadził do życia.

Leonia ocknąwszy się, i przyszedł... świadomości strasznej prawdy, poczuła ... moc w sobie. Muszę go uratować, muszę ... dnać uwolnienie! Wierzyła w wymawiane ... i wiara ta dźwignęła ją na siłach, dodała ... zwykle biernemu usposobieniu. Kazała naty... zaprzęgać konie, i w pół godziny wyjecha... kać drogi, którą by trafiła do uwolnieni... gmunta. Z położenia swego miała najwyższ... liczne stosunki w sferze rządowej. Koła... drzwi, do drzwi, odbierając wszędzie odp... wymijające. Nazajutrz niestrudzona ponow... rania. Tym razem powróciła zrozpaczona ... mówić z nią prawie obawiano się, oba... się wymienić imienia, którego z uwię...

---

*) Klasztor Bazylianów w Wilnie zamienion... w więzienie stanu.

Głuche wieści krążyły o nowych aresztowaniach, aresztowano w Wilnie, zwożono po nocy z okolic... strach padł na wszystkich... Senator Nowosilców zasługiwał się carowi...

Wreście ktoś z litościwych poddał jej myśl udania się do tego dostojnika, on jeden może coś zrobić, on jeden może ulżyć losowi nieszczęśliwego młodzieńca!

Leonia pojechała natychmiast do Nowosilcowa. Przyjął ją z uśmiechem, jak zwykł był przyjmować piękne kobiety. Gdy mu powiedziała o co prosi, twarz mu spochmurniała, brwi ściągnął.

— Jakto? wy żona generała, prosicie za Polakiem? za buntownikiem? za spiskowcem?

— On jest moim bratem, z dumą powiedziała młoda kobieta.

Senator wpatrzył się w nią przenikliwym wzrokiem.

— Rozpatrzę tę sprawę, przyjedźcie jutro. Po oddaleniu się Leoni, Nowosilców, wezwał jenerała, który po tajemnej rozmowie z senatorem wyszedł zły i zburzony.

Nazajutrz biedna kobieta podtrzymywana na siłach jeszcze choć słabą nadzieją, o naznaczonej godzinie, udała się na posłuchanie do Nowosilcowa. Tym razem przyjął ją groźną postawą, ofuknął bez wstępu, nie prosząc nawet siedzieć.

— Jakto wy Polka? Polki słyną z wierności małżeńskiej, słyną jako dobre żony, a wy, wy kłam temu zadajecie i za kochankiem swoim wnosicie prośbę? Żądacie dlań uwolnienia?? bardzo wierzę, ładny chłopiec, dobrze zbudowany, silny.

Szydził okrutnie i szyderstwem tem niemiłosiernie, z pogardą deptał nieszczęśliwą kobietę, Polkę, żonę Moskala! Ona pod tą straszną chłostą stała oniemiała, nie umiejąca się bronić!

— Panie senatorze! to brat mój!!!

— Buntownik jest! — krzyknął tupnąwszy nogą, Sybir mu, nie uwolnienie, a wy słowo jeszcze jedno powiecie za nim, a każe was jako niewierną żonę, zamknąć w klasztorze Czernic.

Obrócił się i wyszedł.

Od pory tego posłuchania u senatora Nowosilcowa, Leonia więdła jak kwiat przez robaka podtoczony, nie wychodziła, nie wyjeżdżała nigdzie, męża prawie nie widywała, nie przychodził do niej, ona też nie szukała go. Blada, cicha, apatyczna, siadywała dnie całe, bez ruchu prawie, trawiła się wspomnieniami dawnemi, i straszną grozą obecnego położenia Zygmunta. Czasem głośniejsze westchnienie uleciało jej z piersi, a z niem wyszeptane słowa:

— Jam zasłużyła, ale za co, ach! za co on tak cierpi...

Kilka miesięcy minęło. Jednego dnia wszedł jenerał do pokoju żony. Oczy mu błysnęły jak u dzikiego zwierza w chwili, gdy ma zadać cios śmiertelny upatrzonej ofierze.

— Czyś nie ciekawa co się dzieje z więźniami? „z bratem twoim“ — dodał z naciskiem złośliwym — powiem ci, jutro dokona się program jaki sobie założył, pójdzie na całe życie w lody sybirskie!

Jęknęła głucho, schwyciła się za piersi, osunęła na ziemię i z rękami skrzyżowanemi na sercu, legła na podłodze, na wschodnich dywanach otoczona przepychem urządzenia, wytwornością sprzętów i malowideł. Serce zbolałe, pękło pod uderzeniem ostatniem! Tak umarła Polka, żona „dobrego człowieka“, Moskala.

Nazajutrz głos dzwonka kibitki mknącej szybko na północ, i głos dzwonu pogrzebowo rozpłynął się w powietrzu i jęczał żałośnie nad przerażonem miastem, przerażonem okrutnie, pierwszem wywiezieniem w Sybir więźni!... Promienistych!

CZYN ROZPACZY

przez

MÈRY.

I.

Po zawarciu pokoju w roku 1814, wszyscy jeńcy francuzcy znajdujący się na pontonach z Kingstown w Irlandyi otrzymali wolność. Wszyscy prawie nazajutrz po uwolnieniu przepłynęli kanał Świętego Jerzego, ażeby się dostać do Francyi. Z niewielkiej liczby tych którzy nie okazali równej tęsknoty za ojczyzną, Dublin zachował w pamięci nazwiska Calestyna i Ksawerego. Obydwaj osieroceni, od dzieciństwa więcej przebywali na morzu niż na ziemi. W pamięci ich nie pozostało nic; ani pieszczoty matki, ani wieżyczka wiejskiego kościółka, ani przerwane powołaniem do wojska zaręczyny, dla tego też uznawszy że Dublin tak dobry jest jak każde inne miasto, postanowili osiedlić się przynajmniej tymczasowo w tym wspaniałym i gościnnym grodzie.

Był zresztą ważny powód, który ich skłaniał do pozostania przez jakiś czas w Dublinie. W ciągu długiej niewoli, korzystając z wrodzonej zdolności do rzeźbiarstwa wykonali z drzewa kilkanaście pięknych krajobrazów widzianych niegdyś z ich pływającego więzienia. Zbiór ten stanowił prawdziwe muzeum w swoim rodzaju. Pod tym względem przypadek posłużył im wybornie, gdyż natura wspólnie z pracą ludzką hojnie obdarzyła pysznemi widokami przestrzeń pomiędzy Kingstown i Dublinem, Howth-Hill.

Naszym marynarzom zdawało się, iż powinni zrobić majątek wystawiając na widok publiczny to muzeum w stolicy Irlandyi i licząc że tym sposobem pobudzą wspaniałomyślność jakiego bogatego lorda, który kupi ich pracę za olbrzymią cenę. Celestyn i Ksawery nie mieli ani jednego *schylinga* w kieszeni, ale nie byliby sprzedali swego muzeum za dwadzieścia tysięcy funtów sterlingów. Miłość własna autorów, kazała im cenić tę pracę cztery razy tak wysoko. Najęli pokój w autresolu na placu *Christ-Church* i porozlepiali następujące ogłoszenie.

Great Attraction!
Chodźcie zobaczyć
Wszystkie cuda portu i miasta Dublina
Ten kwiat ziemi, tę perłę morza!
Wstęp jeden schilling.

W Anglii nie brak tłumów na wystawach. Jest to kraj pełen ludzi, którzy chętnie płacą schillinga za chwilowe wrażenie. Dochody były przepyszne. Celestyn i Ksawery złote sny miewali. W ośmiu dniach zebrali już w swojej szkatułce sto funtów szterlingów, biletami pięcio-funtowemi. Po upływie roku widzieli się już milionerami. Zamiar ich bowiem był taki, żeby wyzyskać wszystkie większe miasta w Anglii i powrócić do Francyi w karecie z dwoma lokajami.

Przypadek czy nienawiść w jednem mgnieniu oka zniszczyły te piękne zamiary.

Pożar pochłonął muzeum Celestyna i Ksawerego: oni sami o mało że nie utracili życia usiłując ocalić z płomieni swój cały majątek niestety! zbyt łatwo płonący. Zwyczaj ubezpieczania od ognia w owym czasie był prawie nieznanym w Dublinie. Zresztą marynarzom nie byłaby przyszła na myśl podobna ostrożność.

Stracili wszystko, nawet uzbierane sto funtów w biletach bankowych. W sakiewce ich pozostało zaledwie dwa czy trzy *suwereny* i kilka *koron*; to mogło wystarczyć na chleb przez piętnaście dni.

Biedni nasi marynarze rozpaczliwie załamywali ręce. Pierwsze słowa jakie Celestyn zsiniałemi ustami zdołał wymówić, były okrzykiem boleści i przekleństwa.

— Do stu piorunów! musiano nas przekląć w kolebce jeszcze! Wysadzają z nami w powietrze *Wschód* i pod Abukirem łowią nas napowrót i wysyłają na galery do Hymouth! dobrze! Uciekamy ztamtąd. Pod Tralfagar topią nas z Infernetem! potem wyławiają nas raz jeszcze i posyłają do Kingstown! jeszcze lepiej! Dziesięć lat pływamy na pontonach, z nędznego drzewa wykonywamy dwadzieścia arcydzieł gołemi palcami i zębami; tym razem już zbliżamy się do majątku. A tymczasem piekło nam zsyła próbkę swoich kotłów ze smołą i smaży nas za życia. Przekleństwo!

Celestyn mówiąc to, przechodził przez most Saint-Stephens. Pod stopami jego huczała groźnie rzeka Liffey, która wezbrała znacznie od topniejących śniegów. Marynarz rzucił prostopadłe spojrzenie na żółtawe mętne wody i ten sam złowrogi wzrok zwrócił na twarz Ksawerego.

— Rozumiem cię! — wymówił Ksawery — przeznaczeniem naszem jest zginąć w słodkiej wodzie. Pocałujmy się i niech tak będzie.

— Niech będę przeklętym jeśli się cofnę! — zawołał Celestyn.

I skoczył na poręcz *Stephens-Bridge*. Ksawery zrobił to samo. Obaj skrzyżowali ręce silnie na piersiach, jakby dla przypomnienia sobie, że nie powinni korzystać ze znakomitej prawdziwie marynarskiej umiejętności pływania i głową naprzód skoczyli do Liffey.

Odgłos spowodowany upadkiem dwóch ciał ludzkich, pobudził uwagę całej sfery psów Terre Neuve, które od niedawna rozpoczęły służbę na moście. Lord O'Calligham sławny filantrop irlandzki był założycielem tej straży psów przeznaczonych do ratunku tonących i dnia tego właśnie psia załoga występowała publicznie po raz pierwszy. Zręczne zwierzęta znalazły się na dnie rzeki równocześnie z Celestynem i Ksawerym. Marynarze uczuli nagle, że silne paszcze chwytają ich za poły od ubrania; lecz ponieważ ich zamiar samobójstwa był nieodwołalny, zaczęli więc walczyć ze swoimi wybawcami z niepojętą energią. Ludzie i psy powrócili nagle na powierzchnią wody; rzeka pieniła się wstrząsana gwałtownemi poruszeniami rąk, nóg i łap. Już dwa psy wprawniejsze do ratunku i natarczywiej niż inne chwytające naszych marynarzy miały drogo przypłacić swoją gorliwość, z gardła ich wydobywały się tylko przytłumione krzyki podobne do chrapania konających, gdyż dławiła ich gęsta brudna woda, którą połykały, kiedy Celestyn i Ksawery zdjęci litością dla tych biednych konających zwierząt wyciągnęli je na brzeg wody i ocalili od śmierci.

I oni także przy tej sposobności ocalili się niechcący. Tłum zebrany w koło, niemy

tej sceny, z uwielbieniem spoglądał na psy a z litością na marynarzy. Scheriff Edmund Tacker starzec siedmdziesięcioletni, wygłosił okolicznościową mówkę do cudzoziemców wydobytych z wody i zaprowadził ich uroczyście do kościoła katolickiego świętego Patrycego.

Celestyn i Ksawery używali przyjemności powtórnego życia. Umarli już raz, a następnie zmartwychwstali. Ci dwaj Lazarze marynarki francuzkiej, pozyskali w Dublinie, szczególniej pomiędzy ludem, słuszną popularność z powodu niedoszłego samobójstwa, które zdradzało rzadką odwagę i siłę woli. Sława ta uzyskana w wodach Liffey nie wielkie im jednak przynosiła korzyści. Nie mogła im ona powrócić ani pięknego muzeum spalonego, ani wielkiego majątku jaki po kilkudziesięciu wystawach osiągnąć się spodziewali. Scheriff powiedział im tylko.

Pracujcie moje dzieci, zarabiajcie na chleb a odzyskacie jeszcze szczęście.

W gruncie rzeczy Scheriff miał słuszność. W trzydziestym roku życia w jakiemkolwiek się jest położeniu zawsze można dwoma zdrowemi rękami na chleb zapracować. Lecz Celestyn i Ksawery fałszywie rozumując uchylili się od tego ogólnego obowiązku. Pracowali i cierpieli od dziesiątego roku życia, nieruchoma bezczynność na pontonie pozbawiła ich sprężystości i energii, arcydzieła zaś wykonane palcami nie rozwinęły siły muskułów lecz przeciwnie drobiazgowa ta praca osłabiła ich i uczyniła niezdolnymi do pracy twardej i męzkiej. Wreszcie przechodząc z domysłów do pewności, doszli do przekonania, że muzeum ich zostało spalone nie w skutek wypadku, ale umyślnie przez zemstę czy zazdrość względem Francuzów. W skutek tego w każdym przechodzącym widzieli podpalacza i nieprzyjaciela. Nieszczęśliwi ci pozostawiwszy życie dobrowolnie na dnie rzeki i sądząc że nie mają już żadnego obowiązku do wypełnienia na ziemi i żadnej kary ludzkiej obawiać się nie potrzebują, ułożyli prawdziwie piekielny plan przeciw Dublinowi, temu miastu które ich zamordowało ogniem i wodą.

— Słuchaj Ksawery — mówił Celestyn — kiedym był dzieckiem jeszcze, opowiadano mi na pokładzie historyę pana Roux negocianta w Marsylii. Pan Roux był tak jak my niezadowolnionym z Anglików. Był to bogaty obywatel, który pożyczał często pieniędzy Ludwikowi XVI., majątek jego był tak wielki, że nawet nie znał prawdziwej jego sumy. Mógłby był z pewnością przez kwandrans dopisywać zera do jednostki nie osiągnąwszy jeszcze właściwej cyfry swoich bogactw. Posiadał flotę składającą się z dwudziestu okrętów kupieckich i nie wiem ilu korsarskich. Pan Roux widząc że Ludwik XVI. siedzi spokojnie, postanowił wypowiedzieć wojnę od siebie królowi Wielkiej Brytanii. List oznajmiający rozpoczęcie nieprzyjacielskich kroków zaczynał się tak: *Ja Roux I. do Jerzego III.* To było podług formy. Roux I. rozpoczął od robienia wiele złego Anglikom; ale król Hiszpanii i Ludwik XVI. wdali się pomiędzy mocarstwa wojujące i pokój został podpisany.

— Znam tę historyę — odparł Ksawery — ale nie widzę gdzie ta historya ma nas zaprowadzić.

— Nie rozumiesz mój przyjacielu?

— Powiedz sam.

— Otóż i my zrobimy tak samo jak nasz rodak Roux I. Wypowiemy wojnę Dublinowi.

— Wypowiedzmy.

— Mamy poprzednika; nasze położenie jest lepsze niż było jego, gdyż my jesteśmy w samem sercu nieprzyjaciela.

— A jeśli nieprzyjaciel nasz ośmieli się odmawiać kontrybucyi wojennych, to go wysadzimy w powietrze tak jak on nas wysadził pod Abukir. To jest słuszne, nieprawdaż Ksawery?

— Celestynie, od pierwszej chwili plan twój mi się podobał, wczoraj kiedyś mi o nim wspomniał bez bliższych szczegółów...

— Teraz ci go rozwinę szerzej Ksawery...

— Ja poprzestanę na samej trości z dodatkiem sensu moralnego. Więc powiadasz, że najmujemy pierwsze piętro na *Sakeville-street.*

— Tak...

— Dobrze! wchodzimy na okręt *Sakeville* i będziemy walczyć z okrętem *Dublin.* Będzie to bitwa morska, na ziemi.

— Tak jest.

— Na kiedyż wypowiedzenie kroków nieprzyjacielskich Celestynie?

— Kiedy baterye nasze będą gotowe.... Do jutra.

— Tak do jutra. Chciałbym już być na pokładzie *Sakevilla*, na kotwicy między dwoma domami, obawiam się tylko choroby morskiej na ziemi. Nigdy jeszcze nie żeglowałem po kontynencie.

— Do wszystkiego przyzwyczaić się można mój Ksawery, szczególniej kiedy kto jak my obaj, umarł już raz w życiu. Posłuchaj, plan mój ci się podobał, trzeba go streścić w kilku słowach.

— Mamy już skupioną częściowo tu i owdzie w Dublinie całą baryłkę najlepszego gatunku prochu angielskiego. To jest podstawą naszego działania.

Najęliśmy pierwsze piętro na *Sakevile-street*, pomiędzy biurami poczty i piękną fabryką Ryszarda Schwab. Jest to położenie przepyszne, w ten sposób mamy w posiadaniu środek najpiękniejszej dzielnicy Dublina i moglibyśmy spalić w jednej chili całą korespondencyę Irlandii, kilka milionów sztuk materyi i całą *Sakeville-Street* wraz z mieszkaniami i mieszkańcami.

Jutrzejszej nocy rozlepiamy na czterech rogach Dublina afisz następująej treści, zaadresowany:

Do mieszkańców!

„Dwaj marynarze utopieni i wydobyci z rzeki Liffey wypowiadają wojnę miastu Dublinowi.“

„M eszkają na *Sakeville-Street*, 27 pomiędzy *Post Office* i fabryką Ryszarda Schwab.“

„W podłodze ich pokoju znajduje się baryłka zawierająca dwieście funtów prochu, która w następujących wypadkach będzie wysadzoną w powietrze.“

„1. Jeśli służba policyjna zrobi najlżejsze usiłowanie wejścia do pokoju gdzie proch jest umieszczony.“

„2. Jeśli ośmielą się aresztować jednego z marynarzy, tego właśnie który przechadzać się będzie po Dublinie, podczas gdy drugi z zapalonym lontem stanie na czatach około baryłki prochu.“

„3. Jeśli nie przyniosą marynarzom rzeczy potrzebnych do ich pożywienia i zabawy, gdy tego zażądają.“

„4. Jeśli sąsiedzi opuszczą swe mieszkania, jakby dla odgraniczenia się od nich i grożenia napadem policyi.“

„5. Marynarze zaś przyrzekają pod słowem honoru bronić dzień i noc właścicieli i mieszkańców miasta Dublina, jeśli mieszkańcy Dublina zachowają się dobrze względem dwóch nieszczęśliwych, zaszczytnie znanych w stolicy Irlandyi.“

„6. Jeden z marynarzy przechadzać się będzie codziennie po Dublinie od południa do piątej godziny. Wzywa się wszystkich obywateli żeby czuwali nad nim; jeśli o wpół do szóstej nie powróci do domu, towarzysz jego rzuca zapalony lont na baryłkę i *Sakeville* wylatuje w powietrze jak *Wschód* pod Abukirem.

„Podpisano: Celestyn i Ksawery.

Kiedy już wszystko zostało przygotowane i zręcznie obliczone, Ksawery wyszedł wśród nocy z setką kopii tej odezwy i rozlepił je wszędzie. O wschodzie słońca Sheriff odebrał list od obydwóch przyjaciół, wzywający go żeby się udał do nich w interesie miasta Dublina.

O tej godzinie Dublin nie miał jeszcze oczów tak otwartych żeby przeczytać odezwę marynarzy.

Sheriff wiedząc że ci dwaj *wściekli* Francuzi są zdolni do popełnienia wszystkich szaleństw, zapomniał o swojej godności i stanowisku i udał się na miejsce wskazane. Przyjęto go z wielką grzecznością w pokoju gdzie stał proch. Celestyn podał mu krzesełko i powiedział.

— Czcigodny Sheryffie, bądź łaskaw odczytać ten egzemplarz odezwy, którąśmy rozlepili na czterech rogach Dublina.

Sheriff spojrzał na Celestyna, wziął papier, włożył okulary i odczytał uważnie od końca do końca, podskakując na krześle za każdym ustępem.

— Czcigodny Sheriffie — odezwał się Celestyn — znasz teraz nasz zamiar równie dobrze jak i my. Teraz nie pozostaje nam nic innego do zrobienia, jak tylko przedstawić ci nasz środek obrony. Tu przed panem znajduje się równo z podłogą, mały wulkanik kieszonkowy... nie bój się... i nie krzycz!... za najmniejszym okrzykiem mój Sheryffie wylatujemy po nad dzwonnice Świętego Patryciusza. Widzisz, Ksawery przysuwa lont... lont palący się ciągle mój Sheryffie. To ogień Westy. Westalki tylko zmieniły postać. Co powiesz o tem wszystkiem Sheryffie?

Stary urzędnik nieruchomy ze strachu i zdziwienia, spoglądał na groźną czarną obręcz silnie przytwierdzoną do podłogi.

Celestyn wziął garstkę prochu i podał ją Sheryffowi.

— Widzisz pan — powiedział — najlepszy gatunek. Osądź nasz maleńki pokojowy Wezuwiusz z tej próbki. Weź to z sobą i każ rozebrać swoim, chemikom oni ci powiedzą, że to nie ziarnka piasku. A teraz zwracamy ci wolność panie Sheryffie.

Starzec wstał nie śmiejąc okazać najmniejszego uczucia niezadowolenia choćby ruchem, ażeby nie obrazić tak strasznych nieprzyjaciół. Nie wymówił też ani słowa, gdyż jako dobry urzędnik byłby musiał mówiąc potępić jak najmocniej te zbrodnicze zamiary. Celestyn i Ksawery odprowadzili go do wschodów, jeden zmuszając do wzięcia próbki prochu w pudełeczku, a drugi prezentując mu zapalony lont jak żołnierz na warcie prezentuje broń swemu naczelnikowi.

II.

W kilka godzin później łatwo było dostrzedz, że odezwa wywarła oczekiwany skutek. W koło pomnika Nelsona i przed pałacem pocztowym zwykłe tłumy ograniczyły się na kilka grup niespokojnych. Policianci zapełniali *Sakeville* starając się jednak okazać, że w ich postawie nie ma nic groźnego ani nieprzyjaźnego. W odda-

łeniu widzieć było można sheryffa, który zatrzymawszy się po za obrębem miejsca narażonego na wybuch, zdawał się ruchami nakazywać ostrożność swemu otoczeniu.

W południe Celestyn w stroju marynarza z pontonów z kokardą francuzką na śniącym kapeluszu, wyszedł odważnie na bruk *Sakevilleu*. W połowie tej ulicy niezmiernej szerokości, obrócił się ażeby zamienić ukłon z Ksawerym, który z zapalonym lontem w ręku ukazał się w oknie.

Celestyn zwrócił się wprost do szeryffa i powiedział.

— Sztuka już rozpoczęta, wszystko idzie bardzo dobrze. Dublin będzie grzeczny, a my okażemy się wdzięczni.

— Panie — odezwał się sheryff — służba pocztowa cierpi na tem mocno; sklepy nie otwierają się na *Sakeville-street*. Widzisz wszędzie zaniepokojenie.

— A czegóż się niepokoją czcigodny sheryffie? nasze zamiary są czyste, trzeba się było niepokoić kiedy ręka zbrodnicza targnęła się na nas paląc nasze muzeum i doprowadzając nas do nędzy. Dzisiaj niech Dublin wypełni swój obowiązek a wszystko pójdzie dobrze. Idę zamówić dla nas śniadanie do hotelu Greamesh, pierwszego hotelu na świecie. Rozumie się sheryffie że za najmniejszą boleścią w żołądku oskarżamy was o otrucie i *Sakeville* rozlatuje się na sto milionów kawałków. Wszystko jest przewidziane sheryffie, nawet usiłowanie otrucia.

— Nie miej pan obawy...

— Obawy! ba! to Dublin niech drży! Obawy! czy żartujesz pan sobie ze mnie?... Od chwili mego urodzenia na pokładzie *Indien* życie mi przechodzi na umieraniu. Widziałem piekło pięć czy sześć razy, tak blisko jak pana widzę.

— Ale panie — dodał sheryff głosem słodkim i przekonywającym — wyrzecz się tego obrzydliwego szaleństwa.

— Sheryffie, ani słowa więcej, albo dam znak i wylecimy po nad chmury.

A zwracając się do tłumu, który go otaczał, marynarz dodał.

— Panowie, rozkazuję wam oddalić się, potrzebuję powietrza. Zostawcie mię samego.

W jednem mgnieniu oka zniknął tłum wraz z sheryffem.

Celestyn doznał słusznego uczucia dumy, widząc, jakie pomięszanie sprawiało każde jego słowo wśród ludu. Krokiem wspaniałym udał się do hotelu Greamesha i głosem rozkazującym zażądał żemy mu podano śniadanie.

Cała służba obydwóch płci z land-lordem na czele przybiegła na rozkazy Celestyna. Podano mu trzydzieści półmisków na stół; wina Oporto, Sherzy i Claret. Po ukończeniu śniadania marynarz zrobił wybór pomiędzy nienaruszonemi półmiskami, włożył je do kosza i wzywając *land-lorda* rzekł:

— Panie to jest dla mego brata Ksawerego na śniadanie. Teraz wszystko to com zostawił rozdaj tym grupom kobiet, które przypatrywały się memu śniadaniu przez okno.

Restaurator ukłonił się z ruchem bardzo wyraźnie oznajmiającym posłuszeństwo dla rozkazów baryłki prochu przedstawionej przez marynarza francuskiego.

Celestyn dał znak umówiony przed wejściem do wulkanicznego pokoju i Ksawery przysunął zapalony lont do baryłki prochu. Celestyn zamknął drzwi na trzy spusty i postawił prowiant na stole.

— Uściśnij mi ręce Ksawery — wymówił siadając — wszystko idzie bardzo dobrze. Cała maszynerja wybornie jest nastawiona. Dublin jest naszym... Co za śniadanie dostałem u Greamesha! co za wina! co za służba urocza! Jedz, jedz teraz mój przyjacielu; zamówiłem objad na siódmą godzinę...

— A sheriff? sheriff? — zapytał Ksawery krając *zumpsteake* z szynki.

— Sheriff boi się; zna nas, cały Dublin nas zna, mój Ksawery. Wiedzą do czego jesteśmy zdolni i że u nas po groźbie łatwo czyn może nastąpić. Policja jest zakłopotaną, szuka rady i nic znaleźć nie może. Powracając spotkałem jakiegoś pana, który się przysunął i powiedział mi bardzo grzecznie: Na miłość boską kapitanie nie zapomnij powrócić o piątej godzinie. — Co za interes masz pan w tem? zapytałem go. — Jestem Ryszardem Schwab, pańskim sąsiadem.— Ach! rozumiem, zawołałem, no! bądź pan spokojnym, ja będę grzecznym, lecz niech Dublin także będzie grzecznym. Pan Ryszard mi zaręczył za rozumne postępowanie Dublina.

— Spodziewam się! — zawołał Ksawery — jeśli Dublin będzie nas nudzić, to go poszlemy na spacer na księżyc.

— Oh! on wie dobrze o tem. Doprawdy zachwycony jestem życiem jakie się przed nami otwiera. Mam sto projektów w głowie... Najpierw oświadczę się o córkę Ryszarda Schwaba, naszego sąsiada.

— Ah! mój Boże! Celestynie!...

— I ciebie ożenię także za jednym zachodem; daję ci córkę pana Greamesh, rudą zachwycającą, która ma dwanaście tysięcy funtów posagu, sto tysięcy złotych!...

— Ale co nam po posagu Celestynie, kiedy jesteśmy tu uwięzieni na całe życie. Jak użyć tego posagu?

— Et! któż tam zna przyszłość! Bierzmy zawsze posag kiedy się znajduje. Jutro oświadczę się o miss Schwab dla siebie i o miss Greamesh dla ciebie.

— A jeśli nam odmówią?

— Wysadzamy w powietrze... to odpowiedź na wszystko... Raz tylko jeden możemy wysadzić.. Jutro każę umeblować dwa pokoje przez pierwszego tapicera w Dublinie. Będziemy mieć dwa wspaniałe wesela...

— Gdzie?

— Gdzie? u Greamesha, w przepysznych salonach. Ty pójdziesz pierwszy, a ja następnie, trzeba zawsze żeby jeden z nas pilnował tego wulkanu. Zapraszamy na nasze wesela całe wyższe towarzystwo z Dublina, tańczyć będziemy do białego dnia. Pochłoniemy jednym bankietem i jednym balem sto tysięcy franków.

— A kto będzie płacić?

— Co za pytanie! Schwab i Greamesh, nasi teściowie płacić będą.

— To słusznie Celestynie, ale potem jak to wszystko się zakończy?

— Ah! kto wie? To się nie zakończy może. Nie potrzeba żeby się kończyło. Przeciwnie każdego dnia będzie się rozpoczynać, mam nawet zamiar kazać się zanominować merem miasta Dublina, a ciebie prefektem departamentu Irlandyi. Nim jednak rozszerzymy tak daleko zakres naszej ambicyi, zacznijmy od rzeczy łatwiejszych. Ożenimy się, a jak będziemy mieć dzieci to je, umieścimy korzystnie w obrębie trzech królestw.

Rozmowa ta została przerwaną ogłuszającym hałasem muzyki zapełniającym *Sakevilleu-street*. Celestyn otworzył i zamknął drzwi ze zwykłemi ostrożnościami i zszedł na ulicę gdzie spotkał znowu swego sąsiada Ryszarda, który nie odstępywał go ani na krok.

— Coż to jest? — zapytał żywo Celestyn,

— To *festival* Dublina przechodzi — odpowiedział grzecznie pan Ryszard.

— A gdzie idzie ten wściekły *fastival*.

— Do *Town-Hall*.

— A co w *Town-Hall* robić będzie ta muzyka potępieńców?

— Będzie akompaniować trzystu chórzystom mającym spiewać *Great-God* i *Creation* Haend'la.

— Panie Ryszardzie Schwab idź powiedzieć temu *festivalowi*, że lubię muzykę i chcę usłyszeć *Great-God* i *Creation* pod mojem oknem, tu dziś wieczór przed zachodem słońca.

— Kapitanie — rzekł Ryszard — będziemy się starali urządzić ci...

— Jakto? wahasz się pan!

— Nie, nie, nie ma nic łatwiejszego, udam się do sheriffa. Przyniesiemy panu *festival*.

Celestyn powrócił do siebie i uwiadomił Ksawerego o koncercie, który zamówił u pana Ryszarda.

— To będzie piękny tryumf — powiedział — jeśli mieć tu będziemy tę armię muzykantów.

I stanął w oknie oczekując *festivalu*.

Na godzinę przed zachodem słońca zobaczono na końcu *Sakevilleu* pana Schwaba zbliżającego się zwycięzko. Służył on za awangardę *festivalowi*. Armia muzykantów defilując przez tę ulicę, najszersza z wszystkich ulic na świecie, ustawiła się w szyku bojowym przed *Post-Office*. Symfonia zastąpiła uwerturę; każdy muzykant wedle zwyczaju zaczął grać ulubioną aryę z tą szlachetną niezależnością jaka odznacza angielskich artystów. Wreszcie trzysta paszcz rzuciło się na Haend'la i rozdarło go bez litości.

Celestyn z wysokości swojego okna podziękował chórzystom i muzykantom i z królewską wspaniałomyślnością kazał Greameshowi uczęstować całą tę armię piwem z Luxton.

Greamesh ukłonił się.

Łatwo jednak było widzieć że nadludzkie robi wysilenia żeby nie okazać swojej gwałtownej rozpaczy.

O dziewiątej wieczór, ponieważ wskutek zbierającej się burzy noc była bardzo ciemna, Celestyn nie mógł sobie odmówić przyjemności wyjścia, ażeby usłyszeć co też mówią o nich na mieście. Ludzi było bardzo dużo na *Phoenix-Park*. Marynarz wsunął się tajemniczo wśród stojące grupy i ciekawość jego została całkowice zaspokojoną. Nie mówiono o niczem innem w koło jak tylko o oblężeniu Dublina przez dwóch marynarzy francuzkich.

Robotnicy Ryszarda Schwab, urzędnicy z *Post-Office*, zwykli goście Greamesha, wszyscy zresztą bliżej dotknięci tą szczególną sprawą niż inni obywatele miasta, odznaczali się niezwykłą gwałtownością w mowie.

— To niesprawiedliwie, mówiono w jednej grupie, żeby dwie, czy trzy osoby bogate płaciły za całe miasto. Oto to szaleństwo z *festivalem* wyciągnęło jeszcze dwieście funtów z kieszeni pana Greamesh. Inne głosy odzywały się: Jeśli te fantazye marynarzy się przedłużą, to Greamesh i Ryszard zrujnowani zostaną w przeciągu ośmiu dni. Widoczna rzecz. A cóż chcecie żeby

pisano wczoraj do rządu. Piękna nic nie zrobi. Przyszle wojsko. żartują z wojska! To najgorsze, tworzy się przychylne im stronictwo? Tak, biedni są za nimi. Dziś zykanci spojeni porterem i piwem *Houra for Celestin!* i to Greamesh ! to nie może trwać dłużej. Słyszy-, chórzyści *festivalu* ułożyli piosnkę:

z chmielu już wyschła
dla Celestyna?

Tłum pobiegł ku procesyi, która przecho- *Phoenix-Park*. Celestyn obrócił się i spotkał twarz z panem Ryszardem.

Ah! nie opuszczam pana na chwilę — Ryszard cichym głosem.

— Strzeż się panie Ryszardzie; nie odgry- anioła stróża, strzeż się.

wróć do domu, wróć, późno tów wypłatać jakiego figla.

okojnym, mój przyjaciel ma ... Ale prawda panie Ryszardzie, musisz mi dać dobrą radę. Podaj mi rękę jmy jak dobrzy sąsiedzi.

Kapitanie, bardzo by mi było przyjemnie mógł ci dać dobrą radę.

Tak, przez drogę daj mi dobrą radę... się ożenić, co myślisz pan o tem?

Ale... kapitanie... myślę...

— Rozumiesz panie Ryszardzie, że Ksa- ja nie możemy żyć w takiem osamotnie- mamy obowiązki do wypełnienia względem eństwa...

— Myślę więc że jeśli panowie macie jaką młodzieńczą...

— Nie, panie Ryszardzie, nie, wszystkie miłości młodzieńcze są ubogie. Dzisiaj ymagania, szukamy bogatych dziedziczek. kna jest wspaniała w Dublinie. Zrobi- wybór.

Ach! — zawołał pan Ryszard przytłu- głosem — zrobiliście już wybór?

Dwa wybory.. Czy myślisz pan że ro- rzystaną na nasze żądanie?

Ale dlaczegoż by nie? — odpowiedział ącym głosem — Czyż nie jesteście dzieńcami?

to mówimy...

ard wpadł w głębokie zamyślenie; lczeniu dopiero powiedział Cele-

aj kapitanie, żądałeś odemnie yjacielską radę, czy pozwalasz

sąsiedzie.

tujecie sobie piekielne życie, blin winien wam wynagrodzenie ię, ja za to ręczę. Towarzystwo Greamesh, administracya pocz- ny poświęcenie. Zbogacimy was i wyprawimy w drogę do Fran- tysiącami franków w pularesie

zatrzymał się i utkwił wzrok pana Ryszarda.

j sąsiedzie — powiedział po długim — gdy będziemy już mieć pieniądze e i zgasimy lont jak głupcy, to nas

— zawołał pan Ryszard — nie niczego. Stu najznakomitszych Dublina z sheryffem na czele przysięgniemy na pismo święte, że nie doznacie żadnego gwałtu i że wolno wam będzie powrócić do ojczyzny z majątkiem i wolnością.

— To wymaga zastanowienia mój sąsiedzie... Posłuchaj oto najskromniejsze moje wymaganie... dacie 200.000 franków mojemu przyjacielowi Ksaweremu. On odjedzie do Francyi, a ja będę oczekiwać w Dublinie aż stanie na miejscu, nie opuszczając naturalnie baryłki z prochem. W ten sposób przynajmniej jednego uszczęśliwicie i jeden tylko będzie powieszony.

— Nie będzie żadnego.

— Czy przystajesz sąsiedzie na moją propozycyę?

— Tak.

— No to i ja przyjmuję twoją. Zajmij się tą rzeczą natychmiast.

— W tej chwili kapitanie. Ziemię mam rozpaloną pod stopami, na to nie ma nocy. O świcie oczekuję na ciebie kapitanie u Greamesha.

— Do widzenia sąsiedzie.

— Dobra noc kapitanie; będziesz mnie widział przed wschodem słońca.

Wkrótce potem Celestyn rzucił się w objęcia swego przyjaciela, opowiadając rozmowę z sąsiadem. Obydwaj z radości zaczęli tańczyć na około wulkanu.

O wschodzie słońca, stu najznakomitszych obywateli miasta, 200,000 franków, sheriff i biblia byli w domu Celestyna. Ksawery zszedł, odebrał przysięgę, bilety bankowe i odjechał do Kingstown powozem pana Ryszarda.

Celestyn pilnował wulkanu.

Przybywszy do Calais, Ksawery napisał list do swego przyjaciela, donosząc mu że oczekuje go z zwrokiem zwróconym nieustannie na kanał la Manche.

Celestyn wyszedł odważnie z listem Ksawerego w ręku i lontem zagaszonym. Lud towarzyszył mu na drodze do Kingstowu z okrzykami po tysiąc razy powtarzanemi: *Houra for Celestin!*

Teraz Ksawery i Celestyn żyją w najżyźniejszym kąciku departamentu *Bouches-du-Rhône*. Są członkami Towarzystwa rolniczego i najpierwszymi agronomami na Południu. Celestyn wynalazł mechaniczny siewnik i otrzymał medal złoty na ostatniej wystawie.

Krakowiak.

Stary Kraków zadumany siadł nad Wisłą mętną
I pochylił siwą głowę wspomnieniami smętną;
Dawnoż? jak go szata królów odziewała złota
A dziś tylko ćmi go kirem smutek i tęsknota!

Dawne czasy... świetne czasy! szybko się prześniły!
O! toż smutno się zadumał u dziatek mogiły —
U mogiły co olbrzymia jak kraj nasz szeroki
A wciąż jeszcze rośnie... rośnie... chcąc sięgnąć w obłoki!

Roztęsknionem biegnę sercem do stóp twoich Grodzie!
O mów tylko, mów mi wiele o moim narodzie!
Jako starzec, tęskną w przeszłość wpatrzony źrenicą,
Mów o cudach któreś zdziałał wiarą i szablicą,

O Hussarskich skrzydeł blasku o ich zbroi, chrzęście —
Mów! jak kwitła wolność nasza jak jaśniało szczęście!
Jaką pieśnią łask Maryi Polak w bitwie prosił,
Jak się sztandar z białym orłem zwycięsko unosił!

Drzwi mi otwórz świątyń twoich, głębie twych podziemi,
Niech przypadnę do nich sercem, usty gorącemi,
U grobowców wielkich królów niech uderzę czołem,
Niech nań proch tej ziemi padnie pokutnym popiołem.

A gdy duszę stąd ku niebu modlitwą uniosę,
Jako ciepły słońca promień, jak ożywczą rosę,
Może rzuci Bóg w me łono taką skrę natchnienia,
Że wyniosę życia pieśni z pod śmierci sklepienia.

Marja B.

SAWA-CALIŃSKI.

(Dokończenie).

Sawa stojąc, we wsi Strzegawie nad rzeką Wkrą, w powiecie Mławskim położonej, gdy się do tej wsi nieprzyjacielska piechota zbliżała, ustąpił i przeszedł do wioski Mdzewska, graniczącej ze Strzegowem. Ciągłym przeszło dwutygodniowym pochodem, zwłaszcza w porze zimowej, znużony nieprzyjaciel tu się rozłożył na spoczynek. Żekowala we wsi Mdzewku wówczas nie było, jeden z włościan Mdzewka, mając pilną naprawę żelaza udał się do Strzegowa, gdzie mu miejscowy majster zrobił co żądał. W nocy wrócił do Mdzewka, w którym mieszkał i uwiadomił Sawę, że nieprzyjaciei spoczywa w śnie bezpiecznym. Sawa zebrał swoich co rychlej, i podszedłszy ostrożnie, wpadł do Strzegowa, gdzie do sześciuset piechoty snem rozmarzonej trupem położył. Byłby cały oddział co do nogi w pień wyciął, gdyby nie jeden z jego żołnierzy, który pijany, wpadłszy przez rzekę do dworu gdzie pułkownik dowódca tego oddziały spoczywał, a przed dworem stało sześć armat, strzelił do pilnującej straży. – W popłochu pułkownik w koszuli tylko uciekł przez zamarzłą rzekę do boru, ale reszta oddziału wprędce przysła do ładu i za broń schwyciła. Sawa widząc niepodobieństwo stoczenia walki, we wsi z piechotą, cofnął swój oddział, nii straciwszy ani jednego żołnierza.

Ostatnia nieszczęśliwa rozprawa Sawy odbyła się pod miastem Szreńskiem, w powie Mławskim położonem, na grobli idącej od młyna do dworu. Tam kilkakrotnie ciężko ranny Sawa, przyzwawszy do siebie swojego podkomendnego Grzegorza Łebkowskiego, odezwał się w te słowa:

— Panie Grzegorzu! Masz wioskę Turzę małą, a ta ma lasy olszowe, więc okolice błotniste; wywieź mnie na swój grunt i umieść, abym był pewny w takiem miejscu niedostępnem.

Wezwany Łebkowski uskutecznił wodza swego żądanie. Pomiędzy temi błotami są miejsca wywyższone, suche *grontami* zwane; na jednem z takich miejsc, zrobiwszy szałas, umieścił wygodnie Sawę, poczem przyzwawszy ze swojego folwarku w Turzej małej rządcę i gospodynię Elżbietę Sładczyńską (gdyż wtedy Łebkowski był wdowcem, a kobiecem gospodarstwem ta sama zajmowała się kobieta), odebrał od nich przysięgę, że zachowają tajemnicę o pobycie Sawy, i że nocą aby nikt nie widział, żywność Sawie, jego matce i służącemu nosić będą. Matka albowiem Sawy przy nim była. To wszystko odbyło się w jednej nocy; potem Łebkowski udał się z rozkazu Sawy do swojej chorągwi.

Żyd felczer, ze Szreńska przyzwany, opatrywał rany Sawy, nocą z miasteczka do szałasu przychodził, bo to była mała milka, przez dni kilkanaście szczęśliwie szła kuracya a tajemnicy dotrzymano, pomimo że wojska nieprzyjacielskie w okolicy i stały i snuły się ciągle. Rany Sawy zaczęły sie goić..

Tymczasem w obozie nieprzyjacielskim opłoszono, że kto żywcem lub trupem dostawi Sawę, otrzyma sześć tysięcy dukatów; chciano bowiem poznać tego wojownika bezbronnego w ja-

syrze co z kozaków pochodził, a tak dzielnie sprawę konfederacyi podtrzymywał.

Żyd felczer, uwiedziony tak znakomitą nagrodą, zdradził tajemnicę. Lasy otoczono w około, a felczer oddział silny doprowadził do Grondu, gdzie Sawę wzięto do niewoli. Grond ten dotąd nosi nazwę *Grond Sawy*. Na miejscu gdzie ten bohater leżał, Grzegorz Łebkowski, właściciel miejsca, w późniejszym czasie wystawił figurę, a gdy ta upadła, syn jego wzniósł nową. Że jednak stała w pośrodku lasów, pastuchy pasąc bydło niszczyli ją, a nawet często ogień pod nią palili; tym sposobem i ta druga figura zniszczona upadła. Dziś już tam żadna nie stoi, miejsce tylko zachowało dawną nazwę Grondu Sawy.

Po wzięciu do niewoli, Sawa przewieziony został do miasta Przasnysza. Dowodzący generał rossyjski i pułkownik który go schwytał, okazywali mu wielkie względy; opatrywano go najtroskliwiej, ale Sawa plastry z ran poodrywał, blizny rozdrażnił, tak iż gangrena się wdała i umarł w temże mieście, oświadczając przed zgonem: „Żyć nie mogę i nie powinienem, bo gdy od podkomendnych przysięgę odbierałem, że się żaden żywy nie podda, i dotrzymywali mi przysięgi, jakże ja, odbierający tę przysięgę, żyć mogę w niewoli?“

Gdzie pochowano zwłoki jego, niewiadomo.

Matka Sawy Calińskiego, wdowa po dwóch mężach Moszczyńska, gdy syn stanął na czele zbrojnego hufcu, porzuciła gospodarstwo, przebrała się po kozacku, przypasała pałasz do boku, parę pistoletów włożyła za pas, i dosiadłszy dzielnego konia, była nieodstępną towarzyszką syna swego — we wszystkich wyprawach i bitwach, aż do ostatniej chwili jego życia.

Po śmierci ukochanego Sawy, wróciła do swej własności, przez drogiego jej męża Moszczyńskiego zapisanej na wsi Moszczanach, i zajęła się gospodarstwem. Że była w tej okolicy obcą, bez żadnej rodziny, bo z familii kozackiej pochodziła, sąsiednia zagonowa szlachta poczęła worywać się w jej grunta i w zbożach szkodę robiła. Wdowa samotna po śmierci syna jedynego, zmuszoną została udawać się pod opiekę sądu ziemiańskiego ziemi zawskrzeńskiej. *)

Sprawy jej i zażalenia słuszne i sprawiedliwe były, wygrywała przeto każdę pod sumiennym sądem, który nadto, zawdzięczając bohaterstwo i poświęcenie syna dla sprawy ojczystej, z własnych dochodów po 300 lub 400 złp. ze skrzynki dawał jej na zapomogę. **)

Szlachta, po kilku przeprowadzonych procesach gdy widziała, że z wdową Moszczyńską nic wygrać nie może, bo jeszcze zasiłek pieniężny od sądu ziemiańskiego otrzymuje, zostawiła ją w spokojnem posiadaniu jej własności, i szanowała jej miedze graniczne!

Na tem kończy się rękopism, z którego wiernie treść podaliśmy. Dodać tu jeszcze musimy nazwiska dzielnych oficerów, którzy pod naczelnictwem Sawy, hufcem bitnym a strasznym nieprzyjaciołom dowodzili.

*) Ziemia ta na południe rozciągała się od granicy Prus do rzeki Wikry, płynącej pod Strzegowem; na wschód zaś odgraniczała ją od ziemi ciechanowskiej rzeka Łydynia, płynąca pod Ciechanowem.

**) W czasach Rzeczypospolitej urzędnicy sądowi nie pobierali żadnej płacy ze skarbu, tylko w każdym sądzie była skrzynka pod kluczem prezydującego, do której kary od stron brane za niesłusznie prowadzone procesa składano. Co kwartał skrzynki otwierano i członkowie sąd ten składający, stosownie do stopnia i przepisów, dzielili się tem, co w skrzynce było.

Sawa Caliński naczelny; *Antonowicz* major, co zginął w Raciążu, pochodził z ziemi Ciechanowskiej: *Grzegorz Łebkowski*, właściciel na *Turzy małej*, i *Fabian Bąski* właściciel wsi Glinek pod Szreńskiem, Rotmistrze; *Miecznikowski* porucznik, *Starzyński* podporucznik. Było ich więcej starszyzny, ale tych tylko pamięć zachowała gdyż zostawili w hufcu do czasu schwytania i śmierci Sawy.

W szczątku rękopisu, pozostałego z zamożnej a spalonej biblioteki w Baranowie w Galicyi autografie Jana Potockiego krajczyca koronnego z r. 1788, znajdujemy wspomnienie o naszym Sawie i jego matce, które się szczególnie godzi z podaniami powyższemi „Sawa sławny dowódca konfederatów barskich, ciężko w stoczonej bitwie ranny, ukrywał się w leśnej macie. Nieprzyjaciel pilnie go śledził i schwytał nawet kilku chłopów, którzy wiedzieli o jego schronieniu, ale ci wytrzymali męki i skonali pod kijami, a nie wydali. Odkryty w ostatku, wzbudził w szlachetnym pułkowniku wojsk nieprzyjacielskich współczucie i litość: sam opatrywał Sawy rany i przewijał, gdy bohater ten leżał bez pamięci. Lecz gdy przyszedł do przytomności, gdy ujrzał się brańcem, butelkę z lekarstwem rozbił o głowę opatrującego, zerwał bandaże z ran swoich i skonał. Matka jego wyzwała na śmiertelny pojedynek owego pułkownika, który gdy oczywiście odrzucił walkę z kobietą, ta w upatrzonej chwili strzeliła z pistoletu do niego, chybiła i uszła szczęśliwie.“

Był on synem (pisze Jan Potocki) dawnego Sawy, co dowodził kozakami kasztelana krakowskiego Józefa Potockiego mego krewnego, który zabity został we wsi należącej do mego brata Seweryna Potockiego! *)

Kitowicz pisze, że wzięty Sawa został przez oddział wojska pułkownika Salmura, który miał za żonę Polkę Gruszczyńską sędziankę Wałecką, z którą się przed dwoma laty w Wielkopolsce ożenił.

„Czyli tedy (wyraża Kitowicz) z miłości dla żony nad Sawą się litujący, czyli z powodu ludzkości wojownikom nad zwycięzonymi zwyczajnej, lubo Sawę na przywitanie ostro przyjął, że będący z pokolenia kozackiego, ważył się podnieść broń na ludzi monarchini swojej, potem jednak czynił mu wszelkie wygody, dał mu złożenie z jednym oficerem, zalecił staranie o jego zdrowiu, i przykazał swemu cyrulikowi, żeby go jak najpilniej leczył. Lecz Sawa, czyli unikając pożałowania, cięższą nad śmierć niewolę wróżącego, czyli też przejęty bolem i rozpaczą, z tak fatalnego po szczęśliwych początkach końca, nie przyjmując żadnych łask ani pokarmu, ani słowa nie odpowiadając mówiącym do siebie, kopiąc nogą zdrową i odpychając rękoma chcących go opatrywać, piątego dnia po odebraniu rany skonał. Pochowano go w polu pod figurą, bez wszelkiego obrządku kościelnego, pod Prasznyszem.“

„Sawa przybrawszy sobie przydomek, pisał się *Sawa Caliński*, jako świadczy (mówi Kitowicz) manifest jego, uczyniony w Płocku, przeciw panom Bromirskim, o czuwanie na życie swoje.“

Sawa jakkolwiek wiernie podpierał usiłowania konfederacyi barskiej sam działał na swoją rękę. Nie był żadnym marszałkiem konfederacyi zakroczymskiej, jak go nazywa autor *pamiątek Soplicy*. Wskazuje to i rękopism Łebkowskiego i podpierają pamiętniki Kitowicza, który go pomiędzy „samotnych konfederatów, co z osobna na swoją rękę wojowali“, policza.

*) Pismo Zbiorowe, I. Ohryzki. Petersburg T. I. 1859. Wycieczka do Krakowa.

Całe opowiadanie Soplicy, wyjąwszy zgonu bohatera, nie ma w sobie prawdy historycznej.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 19. grudnia.

Trzy dni i trzy noce padał śnieg w tym tygodniu; ustał na parę dni, odpoczął i znów padać zaczyna. Lecz nie obawiajacie się czytelnicy, szanowny Magistrat i opatrzność Boska nie dopuszczą, abyśmy tu zaginęli: Magistrat kazał nam przedeptać ścieżki do wszystkich kas poborowych, do których jeżeli nie z całemi kościami, to przynajmniej z całemi należytościami podatkowemi dostać się będzie można, o resztę nie dbał, zaś Opatrzność oddzielając nas od całego świata, od gazet i od polityki wielkiej stojącej nam w gardle, pozwoli z całą przezornością spożyć niemieckie ryby, sprowadzone tu na wigilią. Tak czytelnicy, my Galicyanie mający tyle rzek, jezior i stawów, a nawet morskie oko, gdy przyjdzie raz na rok nakarmić połowę Lwowa rybami, musimy się udawać do Niemców, i nie obawiamy się, aby oście z tych ryb cudzych nie uwięzły nam ze wstydu w gardle. Gdyby o tem naprzykład dowiedzili się Anglicy, których tak lubimy naśladować w rozdziale włosów na środku głowy i w noszeniu długich surdutów, posądziliby nas o straszne obżartwo jak za czasów Augustów Saskich, skoro potrzebujemy więcej ryb niż nasze wody mogą wyprodukować. Tymczasem niestety, nie mamy po co popuszczać pasa, a jak zapewnia szanowny radny miasta kunsztu krawieckiego, dzieje się przeciwnie, bo wszyscy kundmani jego przy każdem braniu miary cienieją o dwa centymetry. Żeby statystyka nasza raczyła zwrócić uwagę na tę okoliczność, tobyśmy nawet przy takim stanie rzeczy przepowiedzieć mogli czytelnikom, kiedy ich korpulentne figury dojdą grubości małego palca, i kiedy niemieckie ryby nie będą nam już potrzebne jako strawić się niedające. Przyznam się, że mocno jestem wzruszony podobną pieczołowitością sąsiadów o nasze żołądki; widocznie naród ten sprzyja krajowi, dbając o nasze przyjemności. Dlatego żałuję mocno, iż nie mogłem stanąć jako kandydat na posła do Rady państwa z brzeżańskiego, bo w świeżo wydanej broszurze sprawozdawczej z tych wyborców, byłaby umieszczoną i moja kandydacka mowa, albowiem czuję w swej duszy tyle sił patryotycznych, że mimo młodocianych lat moich podołałbym temu zadaniu. Jabym tak zaczął: Panowie! Panowie! My ryby niemieckie... zawsze mogliśmy strawić, to i teraz strawimy... Polski żołądek panowie wszystko strawi, jestto niespożytej mocy żołądek, który od lat stu wszystko należycie trawi, a dyabli go wziąć nie mogą. I to panowie jest dowodem naszej żywotności narodowej, o czem i w piekle wiedzą, skoro tam stoi napisane „jeszcze Polska nie zginęła.“ Tylko panowie trzymajmy się solidarnie za brzuchy, tak panowie trzymajmy się solidarnie, a za łaską Bożą zjemy nawet Hausnera z Wolskim, bo to także niemieckie ryby z kolącemi ościami... Stawiam tylko program panowie, program dodatni: niemieckie ryby obłożyć Moskalami, potem butelką lojalnego węgrzyna, a

na deser turecką pieczeń z sosem à la Hercogowina.. W ten sposób panowie i lwowskie warchoły przyjdą na nasz półmisek sami, daję słowo honoru już idą i zjemy ich w kaszy, albo jak chcecie w kutii po staremu, „naj bude jak buwało."

A co szanowni czytelnicy? nieźlebym powiedział, dalibóg to mi się daleko lepiej podoba od przemówień pana Juliana Czerkawskiego tego żelaznego exparlamentarnego męża galicyjskiego. Wystawcie sobie co to za twarda natura u niego, jaka to moc cywilnej odwagi w opozycyi przeciw warchołom lwowskim posuniętej do ostatecznych granic, ofiarować się być kasą Werthejmowską pustej kieszeni szlacheckiej, aby się do niej rewolucya niedobrała. Trzeba przyznać, że ten mąż stanu niezłą ma logikę, aby się dostać do Rady państwa, bardzo podobną do logiki owego żołnierza stojącego na kwaterze u gospodarza wiejskiego. „Jak chcecie gospodarzu, albo wy idźcie do kościoła, a ja z gospodynią zostanę w domu, albo ja z gospodynią pójdę do kościoła, a wy zostańcie w domu," mówił ten zacny wojak spoglądając na hożą gosposię. Nie chcę porównywać w tym wypadku szanownego koła polskiego do owej gospodyni, ale, podejrzywam że energiczny eksposeł miasta Lwowa, musi czuć do niego jakąś predylekcyę, pomimo, że to koło zawsze było i jest rodzaju nijakiego, kiedy nie może żyć bez niego. Widocznie brak mu tylko, ma się rozumieć panu Czerkawskiemu, żołnierskiego przebiegu, skoro brzeżańska szlachta nie dała się złapać na ową plewę nieposuwania opozycyi do ostateczności, i rewolucyjnego rozboju się nie lęka.

Sprawa tych plew, na które jak się zdaje nie potrzeba werthejmowskiej kasy à la Czerkawski, przywiodła mi na pamięć „Wróbli" których przedstawiają teraz w teatrze lwowskim... Są to rzeczywiście poczciwi wróblowie, bardzo podobni do naszych, którzy nieźle umieją rozróżnić plewę od pszenicy. Radzę więc czytelniczkom zobaczyć tych wróbli na scenie: skubią to prawda o ile mogą poczciwców, jednak jak potrzeba dają się i sami oskubywać i nie rachują się na ziarnka co kto ma dać przyjacielowi, kiedy jest w biedzie — ot tak samo jak nasza szlachta robi pomimo nawoływań pana Czerkawskiego. — Pięknie to z szlachetnemi tendencyami sztuka, nowa, ogrzeje, pocieszy i robi efekt świeżego wiosennego powietrza, po takich Furszamboltach, Niniszach, drogach do Damaszku i t. p.

Miałbym jeszcze wielką ochotę poharcować przed czytelnikami na dużym koniu polityki galic. proponując naprzykład fakelzug dla powracającej z Pesztu ekscellencyi, której wielką i brzemienną missyę w przyszłem ukształtowaniu się ministerstwa, rozniosły dzienniki Warszawskie po świecie. Ale cóż kiedy się boję inaczej myślących i c. k. policyi, któraby z pewnością tej niewinnej owacyi zabroniła... Boże drogi jak my wszystkiego teraz bać się musimy: i dobrze i źle myślących, i spisków i rewolucyi i c. k. prokuratoryi i pana Popiela i Szczutka i śniegu.... i! wreszcie Stańczyków! Więc niechże się choć ten stary rok spokojnie skończy na spożywaniu strucli z makiem, który jak wiadomo usypia, i na gryzieniu orzechów, dopóki te jeszcze zębów się naszych boją... Do widzenia zatem w roku przyszłym, który bodaj był gorszym od teraźniejszego co do pokory w poddaniu się swemu losowi.

KORESPONDENCYE „TYGODNIA."

Głogów, w grudniu 1878 r.

Ks. Jan Adamski, wydawnictwo poznańskie z powodu jubileuszu Kraszewskiego. — Niemiecki Schillerpreis. — Agnes von Meran. — To i owo.

Mam tu przed sobą niemieckie czasopismo katolickie *Katolische Bewegung*. Widzę w niem rozprawę *der Glaube in der Jetztzeit*, która jest tłómaczeniem z polskiego oryginału. Autorem tej pracy jest ks. Jan Adamski, karmelita, mieszkający u was, w Galicyi, w Bołszowcu pod Haliczem. Może nie znacie tego autora, a przecież nie pierwsza to jego praca. Spotykam się w poznańskiej *Warcie* od dłuższego czasu z pracami jego pióra, które się wszystkie wysoką erudycyą i niezwykłą potęgą logicznego myślenia odznaczają. O ile osądzić mogę, jestto najwszechstronniejszy i najgłębszy umysł między księżmi naszego czasu. Zwracam uwagę waszą, na ostatnią robotę tego autora, zacytowaną właśnie rozprawę, która nosi polski tytuł: postęp i katolicyzm. Obok poglądów historyozoficznych, znajdziecie tam oryginalny program zupełnie nowych idei, co jest przecież największą zaletą historyjno-filozoficznych dzieł.

— Ponieważ Lwów z powodów od siebie niezależnych, nie może się czynnie do wydawnictw jubileuszowych na cześć Kraszewskiego przyłączyć, warto zwrócić uwagę na daninę, którą szanownemu Nestorowi Poznań niesie. P. Stanisław Wegner, młody, czynny literat poznański, wydaje *Złote myśli* z dzieł Kraszewskiego. Pomysł to nadzwyczaj na czasie, dla czego winien znaleść poparcie w społeczeństwie. Zbiór złotych myśli poprzedza krótka biografia Kraszewskiego, skreślona przez Stefana Buszczyńskiego. Stefan Buszczyński, stojący bliżej Kraszewskiego napisał oczywiście nie ocenę, coby w dzisiejszych warunkach było śmiesznością, ale hymn pochwalny. Ten rodzaj pisania jest najodpowiedniejszy w czasie jubileuszów, których celem: wynagrodzenie jubilata z jednej strony, a podanie imienia jego na cześć narodu z drugiej. Nikt nie będzie szukał krytyki w księgach jubileuszowych. *Złote myśli* zebrał sam p. Wegner, wydawca. Kto wie, że Kraszewski, acz był i jest największym *publicystą* naszego kraju, najpierwszym swego ludu nauczycielem, jednak się w *oryginalne* myśli filozoficzne nigdy nie bawił, czego dowodem, że nie stworzył w koło siebie żadnej szkoły literackiej, któraby walczyła pod chorągwią jego *programu*, ten zrozumie, że praca p. Wegnera była wcale niełatwą rzeczą. P. Wegner wywiązał się bardzo zgrabnie z tego zadania. Dał nam wiązankę prześlicznych myśli, któreby mogły przejść w krew mianowicie młodzieży. Ponieważ i zewnętrzna strona książki: druk, papier, format gustowny odświętnemu celowi zupełnie odpowiadają, można książkę tę chętnie polecić.

— W stuletnią rocznicę urodzin wielkiego poety Fryderyka Szyllera, ustanowił dzisiejszy król pruski, a wówczas regent, Wilhelm I, instytucyę, znaną pod imieniem *der Schillerpreis*. Jest to instytucya w rodzaju naszych konkursów dramatycznych. Co trzy lata ma areopag profesorów uniwersyteckich, pierwszorzędnych aktorów, pisarzów itd. potwierdzonych przez ministerstwo oświaty, przysądzać najlepszemu utworowi dramatycznemu, nagrodę w ilości 1000 talarów pr. wal. Konkurs ów uwieńczył dotąd pierwszą nagrodą Fryderyka Hebbela *Niebelungen*, Alberta Lindnera *Brutus i Collatinus* i Geibela *Sophonisbe*. Krusego *Gräfin* odebrała drugą nagrodę. Od roku jednak 1869 nie odznaczono żadnej sztuki niemieckiej. Ponieważ rezultat taki prac owej instytucyi nie jest wcale po myśli rządu, który słusznie orzekł, że podobna bezpłodność dramatyczna *Vaterlandowi* chluby nie przynosi, dlatego nakazał minister tym razem koniecznie kogoś lub coś wynagrodzić, choćby nawet nie odpowiadało przepisom patentu królewskiego, tym więcej że się w kasie cała moc zaległych pieniędzy nagromadziła. Stosownie do tego rozporządzenia z góry, rozdał komitet w ubiegłym miesiącu trzy nagrody trzem autorom dramatycznym. Uwieńczono Franciszka Nissela, Adolfa Wildbrandta i Ludwika Anzengrubera. Wybór ten zadziwia, gdyż każdy z tych trzech poetów do innej należy kategoryi. Meklenburski Wildbrandt jest Niemcem północnym i dla tego celuje głębią psychologiczną, logiką i delikatnością cieniowania. Właściwością jego nazwaćby można, iż najmilej przedmioty zawiłe, sztuczne wybiera które starannie opracowuje. Skomplikowane dusze artystów, uczonych itd. są jego żywiołem. Jest on talentem eleganckim, poprawnym, znającym formę z którą się liczy, jest ulubieńcem scen rządowych.

Drugi Ludwik Anzengruber, austryak, cieplejszy, serdeczniejszy, jest antypodą pierwszego. Filozof natury, szorstkiego a nie gładkiego języka człowiek, nie lubi salonów, w których mu zanadto duszno. Obraca się tylko między chłopami których kocha i zna, jak niewielu. Jest on ulubieńcem scen ludowych. Franciszek Nissel zbliża się więcej do Wildbrandta. Imię to niewiele dotąd znane w Niemczech, choć Nissel już od lat dwudziestu dla scen pisuje. Już w r. 1856 przeszedł trzyaktowy dramat jego *Ein Wohlthäter* przez scenę wiedeńskiego Burgteatru; później grano jego *Das Beispiel*, *Perseus von Macedonien* (tragedya w pięciu aktach), *Die Zauberin am Stein*, *Heinrich der Löve* i *Dido*. Mimo dość znacznej produkcyi i długiej pracy nie wydostał się Nissel dotąd po za granice Austryi, ojczyzny swej. Ostatni dramat *Agnes von Meran*, za który go uwieńczono, utrwali jego sławę. Podział ten premii przynosi zaszczyt konkursowi berlińskiemu, bo świadczy o wszechstronności sądzących, a wiadomo że „akademicy" wszystkich czasów i wszystkich krajów mają zwykle pewien szablon i słowa z sądu. Jedyny Nissel odebrał nagrodę za nadesłaną sztukę. Anzengrubera i Wildbrandta uwieńczono nie za sztuki, konkursowi posłane, ale w ogóle jako autorów dramatycznych, na uznanie zasługujących.

Agnes von Meran, uwieńczona praca Nisell'a nie jest właściwie dramatem technicznie skończonym. Jestto praca więcej epiczna, przepleciona tu i owdzie iście dramatycznemi scenami, strojna w rakiety efektów, którymi się Nissel bardzo często posługuje. „Filip francuzki żeni się z duńską księżną Jugeborg, która się w ojczyźnie kocha w młodym jakimś księciu. Kiedy okręt pannę do Francyi uwozi, rzuca się kochanek w oczach lubej do morza i tonie. Księżna przybywa do Francyi, ale małżonek narzucony napełnia ją od razu wstrętem. Filip, widząc niechętną i upartą żonę, zraża się do niej, zwołuje parlament i każe się rozwieźć. Wypędzoną żonę osadza w klasztorze. Krótko potem poznaje znaną piękność Agnieszkę z Meranu. Zakochuje się w niej, ona w nim, mają się pobrać, bo Agnieszka nie wie, że Filip już miał żonę. W drugim akcie ucieka Jugeborg z klasztoru i spiesząc do męża, schodzi się z Agnieszką, która się już do ślubu zdobi. Następuje teraz między rywalkami scena, najpiękniejsza z całego dramatu. Tymczasem nadchodzi

i Filip. Małżonkowie obrzucają sie przeróżnemi tytułami, wkońcu zakasuje mężulo rękawów, ściska pięści i gdyby nie Agnieszka, rozbiłby żonę w puch. Jugeborg ustępuje ze sceny, wynosząc z tej potyczki tylko podsinione oko. Agnieszka zrazu nie chce o Filipie nic wiedzieć, ale po chwili zapomina o wszystkich szeptach sumienia, miłością zwyciężona. Ale na południu w starym Rzymie siedzą księża, którzy nie przystają na rozwód świeckiego pana. Więc papież Celestyn śle kardynała Piotra z Kapui z następnem orędziem: Albo się znów połączysz z prawowitą małżonką, albo cię wyklnę. Klnij! myśli sobie Filip, bo mu spieszno do Agnieszki. Żeni się i jest szczęśliwy. Ba, klnij! Kiej to ongiś, kiedy to rozmaitych heretyków palono, inne były czasy. Dziś, żartujemy sobie z pychy przeklinających kapłanów, co to wszystko robią w imieniu Chrystusa, uosobionej miłości. Po Celestynie następuje hardy a groźny Innocenty III, który żartować nie lubił. Wyklina tedy, a Francya jękła pod ciężarem interdyktu. Filip używa dalej miłości, nie zważając na święty gniew papieża. Tymczasem powstaje naród, buntując się przeciw panu. Książę broni się do upadku, nie chcąc ustąpić kochanej Agnieszki; w końcu jednak ulega, bo mu korona milsza. Jugeborg zostaje znów na kilka godzin królową, aby wrócić na zawsze do klasztoru, Agnieszka zabija się i koniec.“ Już w samej inwencyi tej pracy jest kilka niedokładności, z których jednej dotknę. Agnieszka nie wie o małżeństwie Filipa? Jakże to możliwe? Przecież Filip jest panującym księciem, którego czyny ludzie podobno znają. Co do reszty nie jest dramat dramatem z wyjątkiem pojedynczych scen. Autor zestawia obok siebie epicznie sceny, zamiast je dramatycznie rozsnuwać. Dalej instrumentuje, że tak powiem, Nissel za szumnie. Od początku do końca: wrzawy, efekta, rakiety i w dykcyi i w kompozycyi. Tych zewnętrznych środków nie wolno ciągle używać, bo tracą wartość. Mimo tych drobnych wad, zasługuje jednak praca nie jako dramat, ale jako obraz dramatyczny, pełen siły, i poezyi i namiętności kipiącej, na wieniec. Z okazyi tego dramatu zblamował się Julian Schmidt, znany krytyk niemiecki i sekretarz instytucyi, co się zwie „porządnie“. We felietonie *Nationalzeitung* organie nacyonał-liberałów, pisze on, że Nissel użył pierwszy grozy interdyktu jako motywu dramatycznego. Co za rozkosz dla rywałów-krytyków: schwycić wielkiego mistrza na głupstwie. Toć już Ponsard w tragedyi *Agnes de Méranie* i Benno Tschischwitz w tragedyi *Agnes von Meran* nietylko interdyktu, ale nawet tej samej osnowy używali. Więc, kto może, jeździ po „łysinie“ starego krytyka, mówiąc zwrotem Korzeniowskiego, a najwięcej Paweł Lindau, boć to zawsze nie lada uciechą: wyzwać kogoś, przed kim się drżało.

— Trzy gwiazdy zgasły na horyzoncie niemieckiej literatury: Emil Brachvogel, Jerzy Hiltl i Karol Gutzków. Emila Brachvogla znamy i w Polsce jako autora „*Narcyza Rameau*“ w którym wiedeński Barą[illegible] tyle cudów dokazywał. Umarł młodo, z piórem w ręku, zniszczony gorączką tworzenia i ciągłym trudem o jutro to straszne jutro *cielesne*, które mimo krzyków zwykle tłustych a mdłych pseudoidealistów tyle serc szlachetnych złamało, tyle wielkich żywotów zatruło. Karol Gutzków także znany autor „*Uriela Akosty*,“ pierwszy tendencyjny romansier Niemiec (*die Ritter vom Geiste, die Zauberer von Rom*), skonał niedawno, przy schyłku życia nad wyraz oplwany. Pamiętny jest ów szkandal przeszłej zimy, o którym swego czasu obszerniej w warszawskim „*Wieku*“ pisałem. Boli pewno, kiedy z posiwiałej a dawniej laurami zdobnej skroni, lada kto zdziera wieniec, kładąc cierniową koronę. Ale tak... transit gloria mundi... zawsze i wszędzie. Jerzy Hiltl, znany aktor, a w literaturze dyletant, pisał powieści, nowele, a w końcu zajmował się studyowaniem broni. Trzech, w jednym miesiącu — to wiele...

T. Jeske-Choiński.

TEATR.

(Wróble, komedya w 3 aktach z francuskiego przez pp. Labiche i Delacour).

„Każdy ma swoje wróble“, powtarza p. Blandinet, zamożny bourgeois paryski, słysząc o tem, że córka jego przyjaciela Aubertim, Laura, codziennie karmi te ptaszęta. P. Blandinet ma także swoje wróble: są to ubodzy i nieszczęśliwi rozmaitego kalibru, którym dobre serce pana Blandinet nie może odmówić jałmużny lub pomocy. Z tego powodu brat jego, pan Franciszek, pozwala sobie w oczy nazywać go głupcem i stawia mu za przykład siebie, sam on bowiem „nigdy się nie daje brać na kawał“. Nadchodzi właśnie jakaś rozpaczająca prośba, w której jest mowa o drabinie na siódmem piętrze, o chorym ojcu, sparaliżowanej matce i t. p. i pan Franciszek zakłada się z bratem o dobry obiad, że w całej tej prośbie nie ma ani słowa prawdy. Jadą i w istocie przekonywają się, że to dawny stangret Blandineta chciał wziąć swego pana „na kawał“.

Po tem i po paru innych drobnych rozczarowaniach w sercu naszego filantropa budzi się podejrzliwość. Zdaje mu się teraz, że nawet najbliżej go otaczający ludzie starają się go oszukiwać. Podejrzewa o drobne złodziejstwo starego służącego, który mu przez dziesięc lat wiernie służył, podejrzewa najlepszego przyjaciela o chęć wyzyskiwania, gotów nareszcie podejrzewać własną żonę o potajemne schadzki. Brak wiary w ludzi czyni go bardzo nieszczęśliwym; przyznaje, że był dotąd nieustannie oszukiwanym, ale i stokroć szczęśliwym zarazem.

Z tego nieszczęścia urojonego wybawia go inne urojone nieszczęście. Bankierowie, u których był złożony cały majątek Blandineta, zbankrutowali i uciekli. Wiadomość o tem błyskawicznie rozbiega się w gronie rodziny i przyjaciół Blandineta, który jest pewny, że teraz dopiero maska obłudy spadnie i niegodziwość ludzka okaże się w całej swej nagości. Ale cóż się dzieje? Stary służący, podejrzywany o złodziejstwo, na wieść o katastrofie, przychodzi do pana z prośbą, aby mu pozwolił dalej służyć bezpłatnie; żona przynosi mu swoje dyamenty, aby je spieniężył; przyjaciel chce go wesprzeć swoim majątkiem i swoją firmą. Nawet pan Franciszek, który się wydawał zawsze tak nieczułym, i ten chce pomódz bratu. Wszystko to potem wprawdzie okazuje się niepotrzebną, ponieważ syn filantropa, jak się potem dowiedziano, w czas jeszcze wycofał pieniądze ojcowskie od bankierów, ale Blandinet miał sposobność uleczyć się z podejrzliwości i znów jest szczęśliwym, bo powraca do dawniejszej wiary w ludzi.

Powyższe streszczenie nie obejmuje wielu bardzo miłych i zręcznie nawiązanych epizodów. Komedya wyprowadzając same tylko poczciwe figury na scenę ma jakiś szczególny koloryt dobroduszności, a w cieniowaniu sytuacyi odznacza się niezwyczajną subtelnością i elegancyą dowcipu. Widz śmieje się ciągle, choć nie tym śmiechem szerokim, ale trochę wymuszonym, jaki wywołują farsy swoimi grubymi efektami. Tutaj śmiech idzie w parze z czystem zadowoleniem estetycznem. Wyborne są postacie obu braci Blandinetów, wybornie też były odegrane przez pp. Fiszera (filantrop) i Zamojskiego („nie dam się wziąć na kawał“) Co się tyczy tego ostatniego wyrażenia, które wychodzi ciągle z ust pana Franciszka, to jest ono zaczerpnięte z warszawskiego żargonu studenckiego i we Lwowie zapewne dopiero dzięki „Wróblom“ uzyska prawo obywatelskie. Na szczególną pochwałę zasługuje jeszcze gra pana Lubicza w drugorzędnej roli Alfreda Blandinet, syna Franciszka, gra pełna prostoty, naturalności i elegancyi.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** *Śpiewnika Polskiego* tom I. wyszedł w ładnych oprawach. Jest to bardzo stosowny podarunek noworoczny, tak dla dzieci, jak i dla starszych osób. Wydanie na białym papierze oprawne w płótno 1 złr. wydanie na papierze satynowym, oprawne w płótno angielskie, że złoconemi brzegami 1·60. Tomik ten zawiera piosnki patrjotyczne.

*** „Meir Ezofowicz“, głośna powieść p. Elizy Orzeszkowej, drukowana niedawno w „Kłosach“, wyszła obecnie w osobnem wydaniu, ozdobionem illustracyami Andriolego.

*** Nieboska komedya Krasińskiego, tłomaczoną jest obecnie w rosyjskiem czasopiśmie „Nowosti.“

*** P. Kostomarów znany historyk rosyjski, pomieścił w jednym z ostatnich zeszytów *Wiestnika Jewropy* ciekawe studyum o Bohdanie Chmielnickim, z którego okazuje się, że miany dotychczas za zwolennika Rosyi hetman Zaporoża był dannikiem Porty i pieścił myśl autonomii Ukrainy pod zwierzchnią władzą sułtana.

*** Helfert napisał dzieło, przedstawiające obecny stan Bośni, p. t. Bosnisches.

*** W dziedzinie historyi ukażą się wkrótce dwa pomnikowe dzieła: rodzaj filozofii historyi L. Rankego i pierwszy tom „Historyi niemieckiej w XIV w.“ Treitschkego.

*** Illustrowana kronika rossyjsko-tureckiej wojny Wiktora Strang została już (w Lipsku) ukończoną.

*** Radca tajny Hahn wydał drugi tom wielkiego dzieła o ks. Bismarku.

*** Paweł Hohlfeld otrzymał nagrodę przez jenajski uniwersytet wyznaczoną, za najlepszą pracę o Filozofii Krausego.

*** Paweł Heyse wydał nowy zbiór swoich *Nowelli*, które nazwał moralnemi, jak gdyby odpowiadając na zarzuty krytyki, upatrującej w poprzednim zbiorze jego opowiadań nadmierne uwydatnienie zmysłowości,

*** Hugo Krebs w Kolonii otrzymał na konkursie imienia Szyllera w Augsburgu 200 m. za dramat: *Der Bürgermeister von Breslau.*

*** Angielski dykcyonarz dat wyszedł obecnie po raz 16-ty. W ostatniem wydaniu dołączono szczegóły wojny wschodniej, przebieg socyalnej kwestyi w Niemczech, rzecz o wystawie paryskiej, oraz rezultaty ostatnich poszukiwań archeologicznych. Książka pomieniona jest wybornym podręcznikiem, szczególniej przy czytaniu dzienników politycznych, kiedy potrzeba mieć w pamięci cały szereg wypadków związanych z teraźniejszością, o których tak łatwo się zapomina.

*** Na teatrze dworskim w Wejmarze wystawiono nową tragedyę p. t. *Vittoria Accaramboni* Utwór ten szczególniejszą na siebie zwrócił uwagę całych Niemiec, Wysoce poetyczny jej nastrój, w połączeniu z gorącą namiętnością akcyi i wspaniałą formą, budzi powszechny podziw w czasach dzisiejszych, czasach upadku tragedyi. Autor jej A. Weimar, zbudował ją tak kunsztownie, że interes akcyi od pierwszej do ostatniej sceny ani na chwilę nie słabnie, a duże role, prawdziwie popisowe, Vittoryi Accaramboni, sławnej w XVI wieku piękności rzymskiej, i kardynała Montalto późniejszego papieża Sykstusa V go, szerokie artystom dramatycznym otwierają pole. Sztukę przyjęto z zapałem, autora i artystów nagrodzono burzą oklasków. Utwór wystawiony będzie na scenie księcia Meiningen, gdzie wspaniała wystawa niezawodnie się jeszcze przyczyni do jego upiększenia.

*** Z Pragi Czeskiej donoszą nam: Dnia 26 listopada nadzwyczajnie licznie zebrano się w Maticy Czeskiej. Pierwszy przemawiał p. inspektor Kosina o dźwięczności języka czeskiego. Potem w miejsce chorego D-ra Emlera zabierał głos prezydujący p. I. Ireczek o wydaniu przekładu staroczeskiego dzieł Karola IV przygotowanego przez Maticę Czeską i wkrótce mającego się ukazać na widok publiczny.

*** W tym tygodniu, w którym Praga tak uroczyście obchodziła rocznicę 500-letnią swego ukochanego „ojca ojczyzny“ Karola IV wyszedł tom 4 Historyi Pragi (Diejepis Prahy) prof. Tomka zawierający 17 burzliwych lat walki husyckiej (1419—1436)

czyli dobę od śmierci króla Wacława do wstąpienia tron brata jego Zygmunta.

*** D-r Józef Kalousek na uczczenie pamięci la Karola napisał i wydał d. 29 listopada t. j. lniu śmierci jego „*Karol IV ojciec ojczyzny* (Ka- IV otec vlasti). Dzieli się na 2 części: w 1-ej uje życie i politykę króla, w 2-ej zaś jego stosun- Niemcami, dworem rzymskim, z ludem swoim, nauką i sztuką.

Z poezyj wyszły: „Rok na południu“ pan rchlickiego autora „Duch i świat“ i „Symfo- ócz tego wyszedł w swą 20-stą rocznicę al- „Maj.“ Dalej Józef Kratochwil wydał zbiór ezyj p. t. „W marzeniach.“ Nakoniec wy- Mythologia czyli podania Greków i Rzymian“ Cirmhanzla w Pilznie, zeszyt I; całość za- będzie 8 zeszytów, przeznaczona do użytku dzieży szkół średnich.

* Na Konkurs lwowski imienia Aleksandra 1879 następujące komedye nadesłane zo-

zynek,“ komedya w 3-ch aktach.

nedya bez tytułu,“ komedya w 3-ch

nda i Rutygerus“ czyli „Dwa wesela,“ ach, wierszem.

starym piecu dyabeł pali,“ kom. w 2-ch

bezdrożach życia,“ komedya w 4-ch

or małżeństw,“ komedya w 3-ch aktach.

cześć Matejki, bawiącego obecnie w szkali tam polscy artyści zamierzają w której przyjmą udział i znakomi-

---

ROZMAITOŚCI.

ystyczne media. W tych dniach — burska gazeta „Herold“ — zdema- łośnych londyńskich pośredników du- okazali się niezwyczajnymi oszu- drów opisało „posiedzenie,“ w któ- ało się dwóch duchów. Twarze ich pą duchową a następnie po zwy- manifestacyach przy muzyce du- ak zwany „gabinet,“ w któ- rodukowali się bracia Daven- ło jak najlepiej — lecz ko- wyraźne stąpania i skrzypienia siedniego pokoju. Były to za- Jakiś pan usadowiony w po- wszy się, pochwycił jednego Duch począł się szamotać, ości zaczęły padać dotkliwe naczynia i sprzęty pokojowe

czyła się na tem, że po wnie- , ujrzano dwa przetrzepane z pobladłemi twarzami. Du- go zwyczaju poczęły się po- .. towarzystwo jednak zamiast wyprowadziło polecających się wszy przedtem starannie ich kie- ach i ręcznych woreczkach mediów rodzaju spirytystyczne przyrządy, muślinowe woalki, flaszki z olejem szyfry używane do korespondencyi du-

Franciszek Sarcey pełen humoru felietonista „XIX Siécle,“ wykrył przyczynę dymisyi net, dymisyi bardzo głośnej i zagadko- u. W szkole politechnicznej paryskiej, przez Bonneta, znajduje się ogród, w któ- sałatę na potrzeby komendanta szkoły, vé i dymisyonowanego pułkownika Bon- erne przywiązanie do sałaty przyprawiło utratę miejsca. Gospodynie generała i Bon- y się ze sobą, poprzedniego bowiem dnia generalską wyprzedziła bonnetowa i wy- zapas sałaty. W kłótnie sług wdali się możniejszy generał wyparł swego przeci-

---

Z OPOWIEŚCI LONDYŃSKICH.

Do doktora X. słynnego psychiatry, zgłosiła się wykwintnie ubrana dama.

— Panie — rzekła przykładając do oczu koronkową chusteczkę — jestem w rozpaczy. Dotknęło mnie straszne nieszczęście i tylko nauka pańska może mnie podźwignąć z niedoli.

— Jestem na rozkazy pani.

— Mąż mój dostał pomieszania zmysłów.

— Choroba tego rodzaju ma zawsze jakieś powody, czy takowe znane są pani? — pyta doktor.

— Mąż mój jest przemysłowcem — rozpoczyna dama ze łzami w głosie — mamy znaczną fabrykę i składy kosztowności; zdaje się, że w ostatnich czasach musiał ponieść jakieś straty, gdyż główną oznaką obłąkania jest właśnie to, że u każdego upomina się o różne sumy i to czasami z natarczywością przechodzącą wszelkie granice, zresztą zdaje się być zupełnie przytomnym.

— Zechciej mi pani zostawić swój adres — rzecze lekarz — i co tylko będzie w mej możności...

— O pani — przerywa dama — nie powiedziałam ci wszystkiego. Rodzina mego męża nie była zadowoloną z małżeństwa jego ze mną; jestem przekonaną, że gdyby dowiedzieli się o tej nieszczęsnej chorobie, nie omieszkaliby zaraz zaprowadzić urzędowej opieki i administracyi interesów z krzywdą moją i moich dzieci. Otóż nie chciałabym wzywać pana do siebie, co mogłoby zwrócić czyjąś uwagę, ale jeśli pan pozwoli, przyjadę tutaj z mężem. Nakłonię go pod jakimś zmyślonym pozorem i pozostawię pańskiej opiece.

— Dobrze.

— Zechciej pan tylko wyznaczyć mi godzinę, w której nie przyjmujesz nikogo z pacyentów, podwójnie mi na tem zależy: raz, żeby rzecz całą utrzymać w tajemnicy, powtóre, aby nie obudzić podejrzenia w moim mężu. Wiem, że czas pański jest obliczony, ja z mej strony jestem gotową na wszelkie ofiary.

Lekarz przejrzał pugilaresik, w którym zapisywał wizyty.

— Jutro o gdzinie II z rana jestem na rozkazy pani.

— A więc do jutra.

I dama, uścisnąwszy z wdzięcznością rękę psychiatry, udała się do oczekującej na nią karety.

Nazajutrz z uderzeniem 2 godziny zadzwoniono do mieszkania doktora. Uprzedzona służba wpuściła natychmiast do oddzielnego salonu znajomą nam damę, która przybyła w towarzystwie mężczyzny, trzymającego szkatułkę w ręku.

Dama odebrała z rąk towarzysza wspomnianą kasetkę, wskazała mu miejsce, aby spoczął i rzekła z cicha do jednego ze służących:

— Czy pan jest u siebie, chcę go uprzedzić.

— Pan doktor oczekuje na miledy — odparł sługus i otworzył damie drzwi do gabinetu psychiatry.

— Mąż mój jest w salonie — rzekła do lekarza dama — powierzam go zupełnie pańskiej opiece, ufna w jego głęboką naukę. Gdybyś pan uważał za stosowne zatrzymać go czas jakiś w swoim zakładzie, zrób to, oto mój adres i maleńka zaliczka na honorarium. Zechciej pan tylko wskazać mi inne wyjście, nie chciałabym już teraz widzieć mego męża, któremu powiedziałam, że potrzebuję pańskiej porady i prosiłam żeby mi towarzyszył. Żegnam pana, oby Bóg wspierał twoją pracę...

I dama wyszła drugiemi drzwiami.

Lekarz udał się do salonu, gdzie zastał oczekującego pacyenta.

— Szczęśliwy jestem, że poznaję pana — rzekł do nieznajomego — nieraz już podziwiałem kunsztowne klejnoty pańskiego wyrobu, nie znając ich twórcy. Prawdziwe arcydzieła.

— Dokładam wszelkich starań — odpowiada kłaniając się jubiler — aby zadowolnić moich klijentów.

Doktor podał mu rękę dotykając w uścisku pulsu pacyenta, a jednocześnie patrząc badawczo w jego oczy.

— Jakże czujesz się pan ze zdrowiem, teraz każdemu coś dolega.

— Dziękuję, jestem zdrów zupełnie, do choroby potrzeba czasu, a ja mam go bardzo mało i dla tego prosiłbym najuprzejmiej, jeżeli szanowny pan zaakceptował wybór pańskiej małżonki, o łaskawe uregulowanie rachunku.

— Oho — pomyślał doktor — zaczyna się!

— Zaraz, zaraz do tego przyjdziemy, kochany panie — rzekł głośno. — Chciej mi pan jednak powiedzieć, czy nie uczuwasz przypadkiem pewnego bolu głowy?

— Pan doktor bardzo łaskawy, dziękuję za troskliwość jego, ale wcale nie jestem cierpiący.

— Pozwól mi pan przecież zbadać stan swego zdrowia.

— Ależ panie konsyliarzu — zauważył przemysłowiec — a to znowu na co? mój czas jest bardzo drogi i dla tego proszę pana bardzo o załatwienie rachunku.

— A czy sypiasz pan dobrze? — pytał doktor, niby nie zważając na wzmiankę o rachunku — i czy nie czujesz pan od pewnego czasu wodowstrętu?

Zniecierpliwiony jubiler zerwał się z siedzenia.

— Cóż to, pan widzę bierzesz mnie za waryata chyba. Proszę zaprzestać tych żartów i zapłacić mi 5000 funtów szterlingów, lub zwrócić brylanty.

— Aha, więc taką sumę stracił — rzekł do siebie z cicha lekarz.

Przemysłowiec dosłyszał te wyrazy i przestraszony, wykrzyknął:

— Co to ma znaczyć panie? gdzie są moje kosztowności, gdzie jest pańska żona?

— Eh! pomyślał doktor, to już kompletny szaleniec i to furiosus.

Próbował jeszcze na obojętny przedmiot zwrócić rozmowę, żeby rozerwać uwagę pacyenta, ale ten zaczął unosić się coraz więcej, wygadując najdziwniejsze rzeczy.

Doszło do tego, że doktor dał umówiony znak służącym, którzy szamoczącego się i wrzeszczącego jubilera przemocą ubrali w kaftan waryacki i zanieśli do zakładu, gdzie go umieszczono w oddziale niebezpiecznych.

O tem co zaszło lekarz nie zaniedbał powiadomić żonę swego pacyenta, lecz jakież było zdziwienie szanownego psychiatry, gdy służący w kilka godzin doniósł mu, że oznaczona dama pod wskazanym adresem nie mieszka i nawet nikt w okolicy o nazwisku podobnem nie słyszał.

Zdziwienie to doszło do najwyższego stopnia, gdy niebawem zgłosiła się inna zupełnie dama i to w towarzystwie urzędnika policyi, dopytując się co stało się z jej mężem, który rano wyjechał z panią doktorową X. i zabrał ze sobą szkatułkę wybranych przez nią brylantów, za które należność z rąk małżonka pani doktorowej miał otrzymać.

Szanowny psychiatra dopiero teraz zrozumiał z kim miał do czynienia i jak był pomocnym do dokonania haniebnego złodziejstwa.

Od Redakcyi.

Wny ks. Z. B. w Brzostku. „Tydzień“ wychodzi w sobotę i zawsze w sobotę odchodzi ze Lwowa. Od początku wydawnictwa jeszcze ani razu się nie opóźnił. Jeżeli miejscowa poczta o kilka dni opóźnia wydanie, ją o to strofować należy.

Treść Nr. 70.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.) Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.